F.-28

ID 56722

TYGODNIK GDAŃSKI

PISMO CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW NSZZ Solidarność

ROK III 21 LIPCA 1991 CENA 2500

Ms. „Solidarność" pierwszy raz w Polsce — str. 7

F.-28

Fot. Maciej Kostun

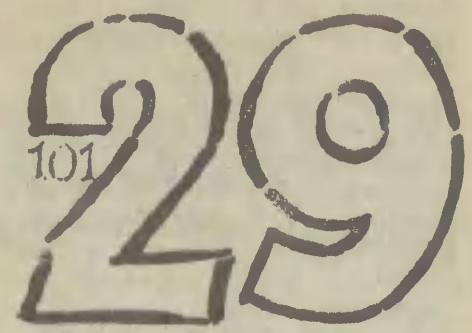

Fałszywy hrabia? — str.3

Chłodny cień wojny — str. 9

KONFLIKT W „KOMUNIE"

(dwa związki w jednej stoczni) — str.13

TRAJEKTORIA SZAJBY

Z Kazimierzem Kotowiczem, psychiatrą rozmawia Krystyna Chwin

— Podobno masz coraz więcej pacjentów.

— Tak. Często są to ludzie wyrzuceni z pracy albo bezskutecznie poszukujący zajęcia. Są także osoby znajdujące się w fatalnej sytuacji materialnej. Najczęściej renciści, którzy nie są w stanie utrzymać się z renty wynoszącej sześćset tysięcy złotych miesięcznie.

— Przychodzą szukać pomocy?

— Jedyne co mogę, to dać im wiarę, że można sobie poradzić. Inaczej nie mogę im pomóc.

— A inni pacjenci? O czym opowiadają?

— Staram się stworzyć sytuację, w której będą mogli mówić przede wszystkim o sobie. To jest pierwszy krok, aby dać im szansę na to, by odczuli ulgę.

— Czy kłopoty twoich pacjentów łączą się także z obecną sytuacją polityczną?

— O, to związek wielopłaszczyznowy. W większości przypadków rzecz dotyczy nadziei: oni stracili nadzieję, że atmosfera w kraju może się poprawić. Najczęściej na pytanie, jak wyobrażają sobie rozwiązanie swoich problemów życiowych, odpowiadają, że najchętniej wyjechaliby za granicę. W dalszym ciągu tak mówią. Tak, jakby w tym widzieli receptę na rozwiązanie swoich problemów. Ale to rodzaj ucieczki, tak jak ucieczką jest używanie narkotyków.

— Narkomania jest również formą ucieczki od klimatu politycznego?

— Tak. Szczególnie była nią w latach poprzednich. Wtedy moimi pacjentami były głównie dzieci prominentów. Ich narkomania była przede wszystkim buntem przeciwko dobrze ustawionym rodzicom. Mówiłem im, że są przykładem tego, co przecież system komunistyczny chciał z nas zrobić i że właściwie są agentami tego systemu. Bo system chciał żebyśmy się zdezintegrowali, zatracali samych siebie. Mówiąc tak, chciałem, by zrozumieli bezsens formy swojego protestu. Narkomania jest przecież protestem generalnym przeciwko wszystkiemu: układom rodzinnym, politycznym, ale tego rodzaju bunt jest równocześnie jakby zemstą na samym sobie. Tak, jakby oni siebie karali za wszystko, bo w gruncie rzeczy wybierali powolną śmierć.

— Jak z punktu widzenia twoich doświadczeń lekarskich rysuje się obecnie stan psychiczny naszego społeczeństwa?

— Jest dość zróżnicowany. Obok ludzi, którzy zaczynają już tęsknić za komunistami (mówią mi: było źle, ale zawsze mieliśmy co jeść, mieliśmy zagwarantowaną pensję, pracę i jakoś się żyło bez poczucia zagrożenia) mam również pacjentów, którzy widzą sens obecnych przemian, mimo dostrzegania nieudolności rządów i parlamentarzystów. Uważają, że wybraliśmy właściwy kierunek.

Niektórzy moi pacjenci bardzo buntowali się przed wizytą papieża: — O, widzisz, widzisz — mówili — znowu miliony złotych będą wyrzucone, a można by za to zbudować kilka szpitali, zaopatrzyć biedne dzieci. Oni nie mogą zrozumieć, jakie ta wizyta ma duchowe znaczenie dla naszego narodu. Nie rozumieją, że cały opór, który doprowadził do tak wielkich zmian w narodzie, właśnie tam miał swój początek.

— A czy takie przełomowe wydarzenia jak Grudzień, Sierpień, czy stan wojenny zostawiły wyraźniejsze ślady w psychice twoich pacjentów?

— Przypominam sobie moją pacjentkę-polonistkę z okresu stanu wojennego. Znałem ją od wielu lat, ona również znała moje poglądy polityczne, tak że mogła czuć się zupełnie bezpiecznie. Na moje pytanie, co ostatnio przeczytała z

dokończenie str. 10

ACCOLADA

Grzegorz Kurkiewicz

„Erbfeind" to wróg dziedziczny. Utrwalony w genetycznym kodzie i w każdym pokoleniu, bez względu na okoliczności, odbierany tylko negatywnie. Zagraża nam, chce naszej krwi — zły i podstępny... Niemcom „Erbfeind" zawsze kojarzył się z Francuzami. „Ein Stoss — ein Franzos..." — rymowali w I wojnie światowej; jedno pchnięcie i o jednego Francuza będzie mniej.

„Boche" (wym. „bosz") to pogardliwe miano Niemca, nadawane przez francuskich żołnierzy, błękitnych „Poilu", w latach 1914—1918. Tyle co świnia, obżarta francuską krzywdą, w szpiczastej pikelhaubie. Gorąca antyniemieckość, przyrównywanie wroga do barbarzyńskich Hunów, jest oczywista już w nowelach Maupassanta z wojny prusko-francuskiej 1870-71, np. w znanej u nas „Baryłeczce" — ale także w bardziej współczesnym nam „Milczeniu morza" Jeana Vercorsa. Z wrogości do Francji i Francuzów zrodziła się romantyczna niemiecka poezja „Befreiungskriege", wojen wyzwoleńczych przeciw Napoleonowi I, wiersze von Kleista, Arndta czy Körnera.

dokończenie str. 8

Ludzie go kochają... str.6

Ksiądz Hilary Jastak — Fot. Maciej Kostun

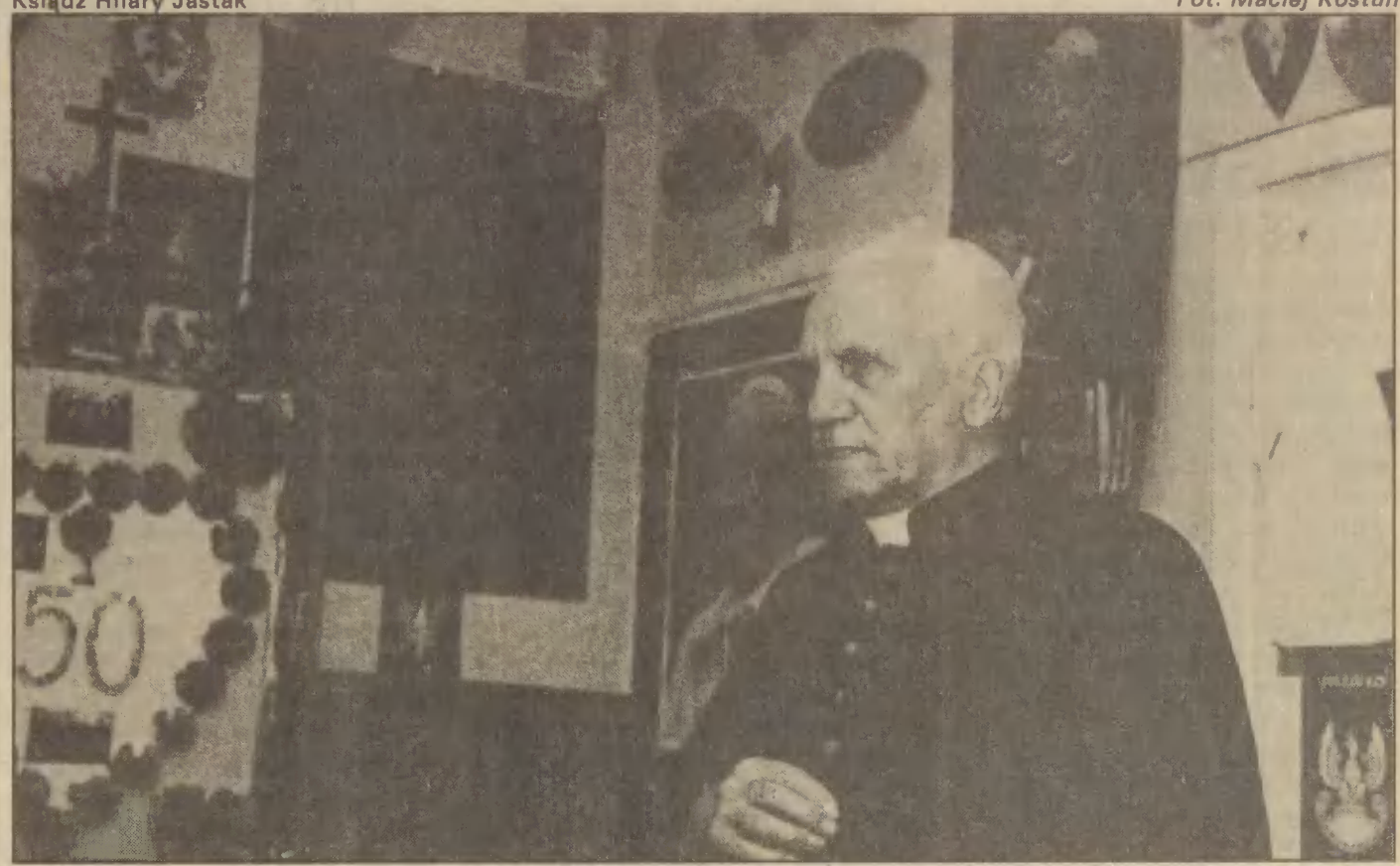

Ravensbrück Shopping Centre

Czy moralny aspekt businessu to tylko mrzonka pięknoduchów? Porzucając centralnie planowaną gospodarkę, idealiści sądzili, że wkraczamy na nową drogę rozwoju ekonomicznego i odnowy moralnej...

Patrzę na historię wielkich fortun — ile z nich powstało w sposób nie budzący wątpliwości etycznych? Pewnie żadne, no może niektóre z nich. Świętych Franciszków było w interesach zawsze niewielu i działali tu raczej krótko. Właściwie pogodziliśmy się z tym i nie wymagamy od liderów businessu, by postępowali tak jakby żywcem mieli iść do nieba. A przecież są sytuacje, gdy nawet ktoś bardzo odporny i tolerancyjny nie może nie zadać sobie pytania: czy wszystko jest na sprzedaż? I czy musi być na sprzedaż?

Każda rzecz ma swoją cenę — powiadają apologeci rynku. A pamięć? No, pamięć nie jest kategorią ekonomiczną — odpowiadają. Skleroza tak, to jest towar — nie tylko dla doktora. Sklerotyczny kapitalista to ktoś, kto robi interes i szybko zapomina o nim. Kiedyś dostarczał cyklon do KL Auschwitz — dziś próbuje zakładać swój geszeft na terenie obozów w Ravensbrück i w Sachsenchausen. Niemieckie firmy podjęły ostatnio próbę zlokalizowania tam handlowych centrów. To także wymiar „wyzwolenia" NRD...

Wschodnie landy, to dziś jedno wielkie zbiorowisko sklerotyków — tak bardzo chcą wymazać ze swojej i cudzej pamięci ostatnie sześćdziesiąt lat historii (komunizm, ale także i nazizm). Szukając zbliżenia z Niemcami powinniśmy aplikować im od czasu do czasu „antyzapominalską" pigułkę. I to nie będzie wcale przejaw nacjonalizmu i zapatrzenia w przeszłość. Historia czegoś nas w końcu nauczyła.

Piotr Dominiak

Sumienie świata

Kurdowie znowu powracają na łamy prasy, chociaż wielu mówiło, że ta sprawa już nie jest aktualna. Alianci wycofują się z ich ochrony przed szalonym Husajnem. Skończyła się tragedia, świat przysłał pomoc, czego więc jeszcze chcą?

Najpierw dopuszczono do ludobójstwa dokonanego na tym narodzie, bo świat uważał, że nie można się wtrącać w wewnętrzne sprawy Iraku. (Jakoś to nikomu nie przeszkadzało w rozpętywaniu wojny w Wietnamie czy w Afganistanie). Potem nie chciano wprowadzać niepokoju u największego w tym rejonie sprzymierzeńca NATO — Turcji. Teraz w Diyarbakirze zabito trzydziestu Kurdów. Było to podczas pogrzebu kurdyjskiego polityka Wedata Aydina, zamordowanego niby w nieznanych okolicznościach za oficjalne posługiwanie się językiem kurdyjskim, na co władze tureckie zresztą dały przyzwolenie kilka miesięcy wcześniej.

Telewizja polska informuje o demonstracji Kurdów przed ambasadą turecką w Londynie, nie podając jej rzeczywistej przyczyny. Bąknięto o manifestacjach w Niemczech, w Holandii, jako proteście przeciw wycofującym się wojskom alianckim z północnego Iraku. Wygląda więc na to, że Kurdowie znów narozrabiali. Społeczeństwo utożsamia ich z Arabami i terrorystami. Nikt ich nie rozumie — o co walczą i po co? Litwini, Łotysze wiadomo, chcą mieć niepodległość i wolność od komuny. A Kurdowie? W krajach, gdzie żyją nie ma przecież komunizmu! Nikt ich racji nie chce, nie potrafi lub nie może wyjaśnić światu.

Dlaczego u Kurdach zawsze mówi się tylko półprawdę? Dlaczego nikt nie chce ofiarować im pokoju? Dlaczego świat wydaje przyzwolenie na ich powolne wyniszczanie?

Maria Giedz

Jedno życie

Nie jesteśmy krajem zamożnym, odżywiamy się źle, ale głód nam chyba w oczy nie zagląda. W obserwowanym od kilku miesięcy wyścigu strajkowym mało kiedy wyczerpuje się wcześniej inne metody dochodzenia praw pracowniczych; głodówka staje się orężem powszechnym. Głodują i górnicy, i hutnicy, kolejarze, tramwajarze, ostatnio — pracownicy szczecińskiej stacji pogotowia ratunkowego. Przyjeżdża wówczas ekipa telewizyjna i filmuje nieźle zazwyczaj wyglądających przedstawicieli mas pracujących, o cierpiętniczych obliczach, którzy zapewniają, że wytrwają do końca i nie odstąpią od swoich słusznych żądań. Nie udało mi się — niestety — ujrzeć kiedykolwiek relacji, ukazującej zachowanie owych ludzi w momencie, kiedy strajk głodowy przerywają. Widać, najczęściej dzieje się to cichcem... Dlaczego?

Aby protest głodowy traktować serio, muszą być spełnione dwa warunki: sprawa, o którą się walczy musi być poważna oraz widmo śmierci realne. Tak było, kiedy protestowali w ten sposób — często do tragicznego końca — Irlandczycy, którzy z tego oręża uczynili swoistą narodową specjalność. Tak bywa w wypadku głodówek więźniów politycznych. To, co dzieje się u nas obecnie, to żenujący kabaret. Chodzi zazwyczaj o — przepraszam — duperele (w Szczecinie — o zmianę dyrektora pogotowia i ustąpienie wojewody).

Głód jest rzeczą straszną. Z jego powodu umierają codziennie tysiące ludzi. Zdecydowana większość dorosłej populacji nad Wisłą zna go jedynie z opowieści starszego pokolenia, bądź z literatury i sztuki filmowej. Jak wyliczyli angielscy specjaliści, gdyby wyrzec się jednego posiłku dziennie, można by uratować jedno istnienie ludzkie, jedno życie. Wszystkim, którzy podejmują właśnie — bądź zamierzają to zrobić — strajk głodowy, poddaję to pod rozwagę.

Aleksandra Paprocka

Wrażliwość skalkulowana

Profesor Jan Szczepański mawiał kiedyś, że polityka nie jest zajęciem dla chłopców z chóru kościelnego. Chciał w ten sposób podkreślić cechy, wymagane od człowieka trudniącego się działaniem publicznym. Ma on być twardy i odporny na walkę i niepowodzenia — zupełnie inny, niż subtelny młodzianek, którego słodkie pienia są odzwierciedleniem głębokiej wrażliwości duszy.

Adam Michnik — zdawałoby się, zahartowany w politycznych bojach od wielu lat, nie uniósł ciężaru wypowiedzi Lecha Wałęsy i w telewizyjnej replice objawił reakcję delikatnego chórzysty, w dodatku wyolbrzymiającego doznane krzywdy. Przywołał nawet scenę ewangeliczną, co świadczy o sięganiu po argumenty o największym znaczeniu i wartości. W tym jednak przypadku było to działanie na wyrost. Coś, jak strzelanie z armaty do komara.

Czym prezydent „spoliczkował" Michnika, który — tak chętny do etycznych pouczeń — wcale nie nastawił zresztą drugiego policzka? Czyżby powiedzeniem, że on i jego sympatycy „nie idą z narodem a tylko uważają, że zawsze mają rację"? Jeśli tak, to jak traktować apokaliptyczny wstęp w replice posła, gdzie mowa jest o biedzie, strachu i nie spełnionych obietnicach o dobrobycie. Przecież to chwyt demagogiczny i obraźliwy, a stosuje go polityk, który świetnie zna realia i wie doskonale, że Wałęsa często mówił o czasie trudnym, o wielu przeszkodach do przezwyciężenia. A miliony i dobrobyt to cele, które wymagają właśnie zgodnych starań, pomocy w budowaniu a nie tylko w efektownym szukaniu sprzeczności.

Każdy tekst ma swą literę i swojego ducha. W replice Adama Michnika duch, skryty w słownej konstrukcji, nie wydał się szczery. To zagrywka dla zwrócenia publicznej uwagi.

Mieczysław Sokołowski

W Polsce

● Sejm RP 11 lipca odrzucił prezydenckie projekty zmian konstytucji oraz propozycje zmian ordynacji wyborczej.

● Rada Ministrów przyjęła projekt specjalnych pełnomocnictw dla rządu, jednak wstrzymała się z przesłaniem go do parlamentu, ponieważ Sejm uruchomił ścieżkę przyspieszonej legislacji.

● Krzysztof Skubiszewski, minister spraw zagranicznych, wymieniany jest pośród 28 światowych osobistości, których nazwiska pojawiają się w dyskusjach na temat obsady stanowiska sekretarza generalnego ONZ; kadencja rozpoczyna się 1 stycznia 1992 r.

● Jak podano w prasie, kontrola przeprowadzona przez NIK w likwidowanym Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego wykazała totalny chaos w księgach finansowych i braki w dokumentacji. NIK winą za brak efektywnego nadzoru obarcza ministra finansów Leszka Balcerowicza oraz — członków Rady Funduszu — wiceministrów Wojciecha Misiąga i Janusza Sawickiego. (O całej sprawie pisaliśmy w ubiegłych wydaniach „TG").

● Andrzej Zoll, sędzia Trybunału Konstytucyjnego, został przewodniczącym Państwowej Komisji Wyborczej.

● „Pospolitym ruszeniem" nazwał Zdzisław Najder projekt porozumienia wyborczego przedstawiony przez Jana Olszewskiego na konferencji komitetów obywatelskich 14 lipca w Warszawie. Porozumienie miałoby objąć siły solidarnościowe, chrześcijańskie i niepodległościowe. Poparcie dla tej propozycji zgłosił m.in. Jerzy Stępień, wiceprzewodniczący OKP, oraz — pod pewnymi warunkami — Jarosław Kaczyński, szef Porozumienia Centrum.

● Roman Bartoszcze, były prezes PSL, powołał 10 lipca w Warszawie Polskie Forum Ludowo-Chrześcijańskie „Ojcowizna", które zamierza pójść do wyborów parlamentarnych w koalicji z PSL „S" oraz NSZZ RI „S".

● Ministerstwem Obrony Narodowej kierować powinna osoba cywilna — zdecydowała Rada Bezpieczeństwa Narodowego.

● Warunkiem odroczenia obowiązkowej służby wojskowej jedynych żywicieli rodzin będzie utrzymywanie przez nich trzech osób, bądź też dwóch, jeśli żona poborowego jest w czwartym miesiącu ciąży.

● Akt oskarżenia przeciw sześciu toruńskim byłym funkcjonariuszom SB, którzy w 1984 roku dopuścili się porwań działaczy „Solidarności", skierowano 11 lipca do sądu wojewódzkiego w Toruniu.

● 9 lipca zaczęto wycofywanie z Torunia ostatniej jednostki wojsk radzieckich: 902 Samodzielnego Batalionu Pontonowego.

● Dwustu uczestników demonstracji zorganizowanej 10 lipca we Wrocławiu przez Stowarzyszenie Repatriantów Wierzycieli Skarbu Państwa domagało się przekazania mienia po Armii Radzieckiej na rzecz zabużan, tytułem rekompensat za dobra pozostawione na dawnych kresach.

● Od 1 lipca najniższe wynagrodzenie pracowników za pełny miesięczny wymiar pracy wynosi 632 tys. zł

● Komisja Likwidacyjna RSW odstąpiła od decyzji sprzed tygodnia, prolongując Spółce Ad Novum termin uregulowania długów finansowych. Jeśli nowe warunki zostaną spełnione, pisma „Trybuna" i „Chłopska Droga" nie zostaną upaństwowione.

● Członkiem ekskluzywnego Klubu Polskiego Kapitału może zostać właściciel firmy osiągającej ponad milion dolarów rocznego obrotu.

● Zakłady Lotnicze WSK Mielec zawarły z amerykańską firmą McDonel Douglas umowę przedwstępną na produkowanie części i podzespołów do samolotu MD-80. Kontrakt na polskie dostawy może obejmować okres przekraczający 10 lat.

● Obliczono, że Huta Warszawa w ciągu roku zatruwa okolicę ponad tysiącem ton pyłów z miedzią, niklem, manganem, molibdenem, 1500 tonami tlenku azotu, 250 tonami tlenku węgla, 11 tonami amoniaku, 3 tonami kwasu siarkowego, 8 tonami siarkowodoru, 3,8 tonami fenolu, nie licząc substancji rozwiewanych z hałdy szlamu, smoły i olejów.

● Aresztowano handlujących aparaturą radiowo-telewizyjną szefów krakowsko-łódzkiej spółki Betamex, którzy naciągnęli ponad 2,5 tysiąca klientów na 21 mld zł.

● Służby celne rekwirują alkohol przywożony nielegalnie do Polski przez obywateli ZSRR — w ilości 3-4 tys. butelek w ciągu doby. Lubuskie Zakłady Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego przeprowadzą kontrolę jakościową przemycanych trunków.

● Byli narkomani chcąc pomagać policji tworzą przy Monarze sekcję antymafijną ds. walki z producentami i sprzedawcami środków odurzających.

W Świecie

● Mimo mediacji Europejskiej Trójki i formalnego przyjęcia kompromisowych warunków zachowania pokoju przez uwikłane w konflikt jugosłowiański strony, sytuacja pozostaje w niezmiennym napięciu.

● Francuskie święto narodowe 14 Juillet (czternastego lipca przypada rocznica zburzenia Bastylii) uświetniła w Paryżu defilada 5 tysięcy żołnierzy, z których 3 tysiące, to kombatanci wojny nad Zatoką Perską.

● Minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski odbył podróż do Iranu, gdzie spotkał się z prezydentem Rafsandżanim i innymi osobistościami. Polska zgłosiła zainteresowanie budową naftociągu z Iranu do Europy Zachodniej, z którego także sama mogłaby korzystać.

● Po odśpiewaniu przez chór wojskowy hymnu „Boże caria chrani" Borys Jelcyn został zaprzysiężony na pierwszego prezydenta Rosji. W uroczystości uczestniczył Michaił Gorbaczow oraz patriarcha Aleksy II, który m.in. powiedział: „Wielka Rosja podnosi się z kolan i osiągnie pozycję kwitnącego, suwerennego państwa". Jelcyn wkrótce przeniesie się na Kreml.

● Cztery rundy rozmów ministra Bezsmiertnycha z sekretarzem stanu Bakerem nie usunęły wszystkich różnic na drodze do ograniczenia broni strategicznej (START) w ZSRR i USA. Rozmowy mają być kontynuowane do skutku.

● Prezydent George Bush ogłosił zniesienie amerykańskich sankcji gospodarczych wobec RPA, po formalnym zniesieniu apartheidu.

● Wniosek prezydenta Busha o przywrócenie w przyszłym roku Chinom klauzuli najwyższego uprzywilejowania w handlu z USA został odrzucony przez Izbę Reprezentantów Kongresu.

● Prezydent Libanu Elias Hraoui zmierza konsekwentnie do ukrócenia 16-letniej anarchii w państwie, rozbrajając wszystkie działające w Libanie siły paramilitarne. Dotyczy to głównie Palestyńczyków z OWP, których działalność stała się dla Izraela pretekstem do okupacji tzw. strefy bezpieczeństwa na południowej granicy libańskiej.

● Rada Najwyższa Związku Sowieckiego zaaprobowała wstępnie projekt nowego układu związkowego i zobowiązała władze federalne do sfinalizowania negocjacji z republikami.

● W sierpniu trafi do Rady Najwyższej Rosji projekt ustawy o przywróceniu Republiki Niemców Nadwołżańskich o powierzchni ok. 22 tys. km. kw. Odtworzono już obwody autonomiczne dla 130 tys. Niemców u stóp Ałtaju i w okolicach Omska.

● Kurdowie usiłowali zatrzymać resztę wojsk sił zjednoczonych opuszczającą iracki Kurdystan. Amerykanie zapowiedzieli powrót, jeśli by wojska Saddama Husajna próbowały zająć opuszczony teren.

● Krwawe zajścia towarzyszące pogrzebowi znanego kurdyjskiego polityka Wedata Ajdina w stolicy tureckiego Kurdystanu — Diyarbakirze pociągnęły za sobą śmierć 12 osób i ranienie ponad 60. Władze tureckie aresztowały 260 Kurdów popierających zakazaną Kurdyjską Partię Robotniczą. Londyńscy Kurdowie zajęli na kilka godzin ambasadę turecką w Wielkiej Brytanii. (komentarz obok)

● 248 powracających do Nigerii uczestników muzułmańskiej pielgrzymki do Mekki oraz 15 członków załogi samolotu DC-8 zginęło w katastrofie lotniczej na zachodnim brzegu Arabii Saudyjskiej.

● 10 generałów i wyższych oficerów irackich stracono w czerwcu za konspiracyjną działalność przeciw reżimowi Saddama Husajna.

● Prezydent Bush zwrócił się do Kongresu amerykańskiego z propozycją kontrowersyjnego planu zamknięcia 25 baz wojskowych i 9 ośrodków badawczych do 1997 roku.

● Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. dyw. Zdzisław Stelmaszuk przedstawił na specjalnej sesji Komitetowi Wojskowemu NATO zasadnicze kierunki reform w polskich siłach zbrojnych.

● Japoński tłumacz „Szatańskich wersetów" Salmana Rushdiego — Hitishi Igarashi, został na terenie uniwersytetu w Tsukubie znaleziony z poderżniętym gardłem.

● Nazwana przez brytyjskie władze finansowe „oszustwem na wielką skalę, dokonywanym od kilku lat i na wysokich szczeblach" afera z Międzynarodowym Bankiem Kredytu i Handlu (BCCI) zatacza coraz szersze kręgi i staje się wydarzeniem bezprecedensowym w historii światowych finansów.

● Izrael nadal osiedla wracających ze Związku Sowieckiego Żydów na terenie Gazy, do którego aspiruje świat arabski. Wśród emigrantów notuje się wysoki procent samobójstw.

W Związku

● Minimum 69 kandydatów na posłów wystawi NSZZ „Solidarność" w wyborach parlamentarnych — zdecydowała 11 lipca Komisja Krajowa w Gdańsku. Kandydatów będą zgłaszać komisje zakładowe oraz członkowie zarządów regionów. Każdy kandydat musi pisemnie oświadczyć, że nie współpracował ze służbami specjalnymi oraz wyrazić zgodę na ujawnienie teczek personalnych (szerzej o posiedzeniu KK piszemy na str. 7).

● Według informacji prezydium Zarządu Regionu NSZZ „S" Małopolska w regionie tym — liczącym ponad 200 tys. członków — wyraźnie przeważa wola samodzielnego uczestnictwa „S" w wyborach do parlamentu. W regionie formułowano liczne postulaty przeciwstawienia się dostrzeganej aktywizacji sił postkomunistycznych.

● Przedstawiciele „S", poinformowani 15 lipca przez rząd o braku pieniędzy na waloryzację płac sfery budżetowej (zagrożone są rozliczenia od II kwartału), odrzucili przedstawioną argumentację przypominając, że związek parokrotnie sygnalizował błędy, które spowodowały dzisiejszą sytuację. Zespół negocjacyjny OPZZ ze swej strony zapowiedział podjęcie działań zmierzających do wyegzekwowania ustawowo przysługującego poziomu płac sfery budżetowej.

● 12 lipca, trzydziestego dnia strajku okupacyjnego, z załogą łódzkich Zakładów Radiowych „Fonica" spotkał się premier Jan Krzysztof Bielecki. Podpisano dokument przewidujący restrukturyzację fabryki. Ma być ona postawiona w stan likwidacji, a w oparciu o część majątku utworzona zostanie jednoosobowa spółka Skarbu Państwa.

● Krajowy Komitet Protestacyjny OPZZ ustalił, że decyzja o wyborze formy zapowiedzianego wcześniej protestu ogłoszona zostanie 24 lipca. Wcześniej jednak — 11 lipca — KKP zorganizował wiec pod łódzkimi Zakładami Radiowymi „Fonica", gdzie zgromadziło się ok. 800 osób. Protestowano przeciw recesji, bezrobociu i spadkowi stopy życiowej. Pracownicy „Foniki" obserwowali przebieg wiecu z terenu swego zakładu.

● 14 lipca zakończono strajk głodowy w Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Szczecinie. Uczestnicy protestu domagali się odwołania dyrektora, wybranego niezgodnie z przepisami. Ministerstwo akceptowało rozpisanie konkursu na to stanowisko.

● Nowy komitet wznowionego przez białostocką komunikację strajku, chcąc zminimalizować kłopoty w dojeździe pracowników do miejsc pracy i domów, 10 lipca uruchomił tabor autobusowy w godzinach wzmożonego ruchu. Prezydent miasta Lech Rutkowski traktuje strajk jako nielegalny i domaga się respektowania porozumień z 5 lipca podpisanych z poprzednim komitetem strajkowym.

● Sprzeciwiając się zamiarowi powołania podinspektora Romana Huli (dotychczasowego komendanta policji w Katowicach) na stanowisko komendanta głównego policji, Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ Policjantów wyraziła wotum nieufności wobec ministra spraw wewnętrznych Henryka Majewskiego oraz wiceministra Jana Widackiego.

● 33 przedsiębiorstwa mają zostać odgórnie skomercjalizowe w dolnośląskim regionie „S". O przychylnym nastawieniu załóg licznych zakładów pracy do potrzeby prywatyzowania przedsiębiorstw wypowiedzieli się na konferencji prasowej we Wrocławiu przedstawiciele prezydium ZR NSZZ „S" Dolny Śląsk. Zdaniem związkowców prywatyzacja powinna być powszechna, gdyż majątek narodowy powstał dzięki pracy całego społeczeństwa.

● Utworzenie związkowo-rządowych zespołów zajmujących się ludźmi dotkniętymi brakiem pracy zaproponował 9 lipca minister pracy i spraw socjalnych Michał Boni w czasie spotkania z zespołem Komisji Krajowej „Solidarności" do walki z bezrobociem. Bez pracy pozostaje obecnie 8,5 proc. ogółu zatrudnionych. Uruchomienie dużego programu robót publicznych w roku bieżącym nie jest możliwe z powodu braku środków finansowych.

● W nocy z 10 na 11 lipca zakończył się trwający tydzień strajk w Zakładach Górniczo-Hutniczych „Bolesław" w Bukownie k. Olkusza. „Solidarność" i związki branżowe podpisały z dyrekcją porozumienie gwarantujące podwyżkę średnio po 500 tys. zł na osobę.

● Podwyższenia o 600 tys. zł płacy w górnictwie domaga się Federacja Związków Zawodowych Górników. Przedstawiciele rządu zobowiązali się do udzielenia odpowiedzi do połowy lipca.

● W gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych wykonano pierwsze elementy pomnika ku czci górników kopalni „Wujek" poległych 16 grudnia 1981 r. Odsłonięcie monumentu, którego główny korpus będzie stanowił 32-metrowy krzyż, nastąpi w 10 rocznicę ogłoszenia stanu wojennego.

Jan Plater-Gajewski: oszust, mitoman, czy ostatni sprawiedliwy?

Nie jest sprawą prostą ani miłą przyznawać się do błędu. Blisko rok temu w reportażu zatytułowanym „Misja" przedstawiłam czytelnikom, znaną coraz szerzej sylwetkę Jana Platera-Gajewskiego, Polaka z Kazachstanu, który — potomek wspaniałego polskiego rodu — toczy samotną walkę o przetrwanie i podtrzymanie świadomości narodowej zesłańców i ich dzieci. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że to wspaniałe pochodzenie może być jednym z mitów, nie mającym wiele wspólnego z prawdą.

OPISAŁAM KOGOŚ INNEGO...

Barbara Sułek-Kowalska

Pisałam o jego życiu przed wojną — także o pracy w Światowym Związku Polaków z Zagranicy, o jego polskich losach w kampanii wrześniowej i podczas sowieckiej okupacji, wreszcie o łagrach i latach walki o polskość. Cytowałam jego memoriały skierowane do władz Związku Radzieckiego, do generała Jaruzelskiego, wreszcie do Sejmu i Senatu tej kadencji — domagał się w nich uznania polskiego obywatelstwa dla tych wszystkich, którzy zamieszkiwali tereny Rzeczypospolitej przed 1 września 1939 roku. Na memoriały odpowiedzi nie otrzymywał.

Pisałam ja i pisali inni. Jan Plater-Gajewski opowiadał bardzo chętnie. Potwierdzeniem niektórych opowieści była literatura, w tym poważna praca londyńskiego historyka Juliana Siedleckiego „Losy Polaków w ZSRR w latach 1939—1986", dostępna już i w kraju. Potwierdzeniem innych opowieści były wcześniejsze publikacje krajowych dziennikarzy i — działalność. Bo są w Kazachstanie nauczyciele z Polski, przyjeżdżają stamtąd dzieci na kolonie, od lat działały grupy wysyłające do Kazachstanu polską prasę, powstały w najróżniejszych środowiskach kręgi ludzi prywatnie czy instytucjonalnie organizujących pomoc dla Polaków na Wschodzie...

W roku 1988, a od tego momentu datuje się wzmożona aktywność Jana Platera-Gajewskiego w kraju i jego przyjazd na stałe do Polski, wielu osobom przypomniał się los Polaków w ZSRR.

Jan Plater-Gajewski powoli stawał się osobą publiczną. Kiedy 1 kwietnia 1989 roku przemawiał na Kongresie Kultury Niezależnej, wszyscy bili mu brawo. Nic dziwnego — ktoś wreszcie mówił głośno o skrywanej do tej pory i wstydliwej jakby sprawie. A że mówił to potomek takiego rodu — tym lepiej. Dla rodu również.

Mit pochodzenia

Zaczął Jan Plater-Gajewski tworzyć wokół siebie mit. Od kiedy i po co? — tego się być może nie dowiemy. Główny zainteresowany nie jest bowiem skłonny do rozmów na ten temat. Więc najpierw: mit pochodzenia...

Pani Filomena Jóźwik i jej siostrzeniec pan Sławomir Parol ze Szczytna od lat przyjaźnią się korespondencyjnie z rodzeństwem Stefanią i Dominikiem Broel-Platerami zamieszkałymi od lat w AłmaAcie. Na ich prośbę przeprowadzili poszukiwania genealogiczne, kontaktowali się z innymi żyjącymi Platerami. Sławomir Parol nie znalazł w najlepszych nawet materiałach źródłowych (w tym „Materiały do biografii, genealogii i heraldyki polskiej", tom IV „Platerowie" — Szymona Konarskiego, Buenos Aires — Paryż, 1967) rodziny czy gałęzi rodziny, z której pochodzi Jan Plater-Gajewski. Zamieszczona obok jego rozmowa z Dominikiem Broel-Platerem pokazuje, że nie wszyscy Platerowie godzą się na używanie tego nazwiska przez osobę spoza ich rodziny. Ale żyją wszak inni Platerowie, są w Polsce i w świecie rodziny Zyberk- Platerów i Broel-Platerów. Dlaczego nikt z nich przez tyle lat nie wyraził sprzeciwu? Czy nie dlatego że taka sytuacja była wygodna? Może Platerowie chcieli tego mitu, bo zaspokajał ich potrzebę działania w narodowej sprawie? Może i przedstawiciele innych ziemiańskich i arystokratycznych rodów milczeli z tej samej przyczyny?

Sławomir Parol kontaktował się z Kazimierzem Zyberk-Platerem zamieszkałym w Kanadzie: dowiedział się, że kanadyjski Plater od lat jest w kontakcie ze Stefanią i Dominikiem i że wspólnie z rodziną w Polsce — czyli z kim? — czynią starania o ich powrót do Polski. Dominik Plater całkowicie temu zaprzeczył.

Działalność Jana Platera-Gajewskiego tu w kraju była niczym głos sumienia, więc nikt nie pytał go o pochodzenie i nie weryfikował szczegółów. A on sam sądził, być może, że dopiero odpowiednia legenda zapewni należny posłuch — jemu i sprawie.

Ma rację Sławomir Parol, kiedy mówi: wiarygodność powinna mieć tutaj kluczowe znaczenie, bo szlak działalności Jana Platera-Gajewskiego prowadzi przez Sejm i Senat, gabinety MSZ i Wspólnotę Polską, ostatnio również przez apartamenty naszej emigracyjnej elity politycznej. A nie można być wiarygodnym w działaniu nie będąc wiarygodnym personalnie.

Mit „światpolowca"

Mit przedwojennej działalności w „Światpolu" był wygodny, bo zapewniał ciągłość działania. Pozycję „jednego z nielicznych żyjących jeszcze działaczy" Światowego Związku Polaków Zagranicą uwierzytelniło — w dobrej wierze — dwóch „światpolowców", z których jeden już nie żyje, zaś drugi mieszka na innym kontynencie. Jan Plater-Gajewski mógł potem zabierać głos w każdej sprawie i to w charakterze autorytetu.

Poproszony przeze mnie o opinię pan Władysław Oszelda — przed wojną redaktor naczelny wszystkich wydawnictw światpolowych — pisze:

(...) teraz o panu Platerze, miłym człowieku, ale jakby nieco o zachwianej równowadze pamięciowej. W „Światpolu" (biurach) nie znaliśmy go, choć nie wykluczam, że współpracował z nami, tak jak to czyniło setki działaczy w Warszawie i terenie. Pani (A.S.), współpracownica Bolesława Wierzbiańskiego, która prowadziła rejestr osób związanych ze „Światpolem" też nie przypomina sobie pana Platera, co nie znaczy że nie działał na rzecz Polonii Zagranicznej. Nie wydaje mi się, aby pan Plater-Gajewski brał udział w I Światowym Zjeździe Polaków z Zagranicy. Ze Związkiem Radzieckim, ściślej z Polakami w tymże Związku, nie utrzymywaliśmy żadnych (oficjalnych) kontaktów. Pan Plater-Gajewski na pewno przeszedł w Związku Radzieckim wiele i być może to pozostawiło jakiś ślad w jego psychice. Jest człowiekiem empatycznym, pełnym jeszcze energii, żwawo zabierającym głos z trybuny. Dlatego ja nie staram się komentować jego wypowiedzi, choć może mącą w głowach ludzi przystępujących do pracy z rodakami w świecie.

„Ten hrabia, z którym siedziałem"

Raz obudzone wątpliwości nie dają się już zagłuszyć. Powodowana nimi dotarłam do profesora Jerzego Węgierskiego, ostatecznej instancji w sprawach Armii Krajowej we Lwowie. Profesor udostępnił mi swój list skierowany uprzednio do redakcji „Przeglądu Powszechnego", bo także i ten solidny miesięcznik poświęcił swoje łamy Janowi Platerowi- Gajewskiemu. Profesor Jerzy Węgierski pisał swój list już rok temu i tylko do użytku redakcji, tym razem jednak zgodził się na jego przedruk. Wprawdzie jego uwagi odnoszą się do przykładów podanych w „Przeglądzie Powszechnym", ale w moim reportażu — i w wielu innych — te przykłady się powtarzały. Pisze więc:

Jan Plater-Gajewski ma olbrzymie zasługi na polu opieki nad Polakami w Kazachstanie, ale jest niestety mitomanem i jego opowiadania trzeba przyjmować bardzo ostrożnie. Przyjeżdżając w ubiegłych latach do Polski J.P.-G. wygłaszał odczyty o Kazachstanie pełne — delikatnie powiedziawszy — fantazji, co rozśmieszało tych, którzy w Kazachstanie przebywali, a zwłaszcza jego przyjaciół z obozów sowieckich. Oto niektóre przykłady:

1. Nie było przypadku wysadzenia dwóch pociągów pancernych pod Jarosławiem (we wrześniu 1939).

2. Przejechanie w dniu 17 września z Łucka na granicę i w tym samym dniu do Lwowa było niemożliwością (megalomanią jest mówienie: broniliśmy Lwowa, odrzuciliśmy warunki kapitulacji, itd.).

3. ZWZ zaczęto organizować we Lwowie dopiero od 24 XII 1939. Gen. Tokarzewski był w Warszawie, więc nie mógł panu J.P.-G. wydać we Lwowie rozkazu.

4. Nie bardzo wiarygodne są te rozmowy bezpośrednie z płk. Okulickim, rozkazy od E. Raczyńskiego, rozmowy z W. Wasilewską.

5. Obozy dla „politycznych" organizowano dopiero od r. 1949, a nie od r. 1946. Ksiądz (a nie: ojciec) Bukowiński był w obozie do r. 1954, a więc nie wyszedł wcześniej. Zmarł w 1974 roku, a nie „w parę lat później"... itd., itd.

Byłem we Lwowie podczas jego obrony, byłem w obozach w Dżezkazganie, a potem na zesłaniu, znałem bardzo blisko księdza Bukowińskiego, rozmawiałem z nim o panu J.P.-G. i miał o nim podobną jak ja opinię.

Profesor Jerzy Węgierski skierował mnie do pana Romualda Orskiego.

dokończenie str. 4

Daliśmy mu nasze dokumenty

Rozmowa z Dominikiem Broel-Platerem

— Czy może pan określić swój stopień pokrewieństwa z Emilią Plater?

— Mój pradziad, Franciszek Ksawery Plater był dwukrotnie żonaty. Emilia była jego jedynym dzieckiem z pierwszego małżeństwa. Z kolei mój dziadek Michał Plater był jedynym synem wśród potomstwa Franciszka Ksawerego z jego drugiego małżeństwa. Emilia, jak wiadomo, zmarła bezpotomnie w wieku 25 lat. Mój ojciec, Michał Justyn Ksawery Plater, był jedynym dzieckiem Michała — mojego dziadka i jedynym ciotecznym wnukiem Emilii. Nas zaś było troje: Jan zmarły w 1960, Stefania i ja. Obecnie oboje mieszkamy w AłmaAcie. Urodziliśmy się zaś w rodzinnym majątku Degule na Litwie.

— Jak trafiliście do AłmaAty?

— W czerwcu 1940 roku nasz majątek zajęli Rosjanie. Wkrótce potem rodziców, Stefanię i mnie wywieziono do Nowej Wilejki. W tym czasie Janek studiował na uniwersytecie w Wilnie i dzięki temu uniknął wywiezienia. Ja miałem wówczas 12 lat i po raz ostatni widziałem swojego ojca. Mojej siostrze po wielu latach udało się ustalić, że ojciec nasz zmarł w 1942 na zesłaniu. Pochowany został w Krasnojarskim Kraju. Tragizm jego losu polega na tym, że zakończył życie tam, gdzie je zaczął — na zsyłce. Urodził się bowiem również w Krasnojarskim Kraju, podczas zesłania mojego dziadka Michała, za którym pojechała jego żona, a moja babka.

Naszą stacją końcową był Bernauł w Ałtajskim Kraju, skąd po miesiącu przerzucono nas do Ustpristenskiego Rejonu, Klepekowskij Sielsowiet, 67 kwartał. Tutaj, w tajdze, pracowaliśmy i mieszkaliśmy. Latem i zimą. Nikt nie interesował się czy mamy ubranie i czy mamy co jeść. Nikogo nie obchodziły też nasze choroby. Otrzymywaliśmy 400 gramów chleba dziennie i kartki na cukier, którego i tak nie było. Nasza rzeczywistość sprowadzała się tam do tych kilku słów: głód, chłód, brud, nędza i robactwo, choroby i śmierć. Ot, i wszystko.

W tych warunkach dotrwaliśmy do 1959, kiedy to zdjęto z nas nadzór NKWD. W tym czasie, w 1942, Stefania wywieziona została do Komsomolska. Ponownie zobaczyliśmy się dopiero po sześciu latach, kiedy powróciła do Bernaułu. Nie można było wówczas wykluczyć, że ojciec żyje i że z czasem się odnajdziemy. W tej sytuacji i przy takim założeniu utrata wzroku u mojej matki, spowodowana ogromem przeżyć i ciągłym strachem o nas, wydaje się być niewielką ceną za przejście przez to wszystko.

— W 1959 mieliście więc możliwość zmiany miejsca pobytu. Czy skorzystaliście z niej?

— Tak, w tym właśnie roku wyjechaliśmy do Czerwianki oddalonej od 67 kwartału o około 40 km, potem do AłmaAty, gdzie mieszkamy do dzisiaj. W dalszym ciągu we trójkę, choć już bez mamy, która zmarła w 1969 nie zobaczywszy swoich stron ojczystych, ale za to z synem mojej siostry Michałem, urodzonym w 1947.

— Czym pan się zajmował przez cały ten czas?

— Cóż, z przyczyn obiektywnych nie było mi dane ukończyć szkół. Wywieziony zostałem jako 12-letni chłopak i nie po to, żeby się uczyć. W tej sytuacji mogłem pracować tylko fizycznie. Umiem robić wiele rzeczy, np. wiadra z kory brzozowej czy beczki z dębiny. Życie w lesie przez 18 lat zmusza człowieka do nabycia umiejętności doprawdy dziwnych. Głównie jednak pracowałem jako kierowca. Całą swoją edukację zawdzięczam siostrze. Ona mówi i pisze po polsku znacznie lepiej ode mnie. Ja miałem bardzo ograniczone możliwości pisania i czytania po polsku.

— Czy próbowaliście wracać do Polski? Były przecież repatriacje?

— Był taki moment, że braliśmy pod uwagę ewentualność powrotu na Litwę. Pojechaliśmy tam nawet, żeby porównać wspomnienia z dzieciństwa z rzeczywistością. Nie wypadło to dobrze. Po prostu wszystko zostało zniszczone. Nie ma więc gdzie wracać i nie ma do czego, choć przecież tam jest ziemia ojczysta.

Teraz powiem o próbie powrotu do Polski, co wiąże się z losem mojego brata Janka. On też nie uniknął wywózki, choć stało się to dopiero w 1945. Znalazł się wtedy w Kuzbasie, w kopalni węgla kamiennego. Po roku katorżniczej pracy udało mu się uciec w wagonie z węglem. Osiedlił się w Gdańsku. W 1960 roku przysłał nam zaproszenie oraz niezbędne dokumenty wymagane przez władze przy załatwianiu formalności związanych z powrotem do Polski na stałe. Między innymi było tam pismo stwierdzające nasze polskie obywatelstwo do 1939 roku. Wkrótce potem Janek umarł, pochowany w Gdańsku, na cmentarzu Srebrzysko.

W naszym życiu pojawia się wówczas doskonale w Polsce znany Jan Plater-Gajewski z Karagandy przedstawiając się jako rodak o tym samym co nasze nazwisku. Zaprasza do siebie. Odwiedza go Stefania, on przyjeżdża do nas do AłmaAty. Obiecuje pomoc w sfinalizowaniu naszego wyjazdu do Polski. Wprawdzie „błanki" zostały już złożone i wydawało się, że wszystko idzie we właściwym kierunku, ale uznaliśmy, że pomoc może się przydać. Daliśmy mu nasze dokumenty i... nie oglądaliśmy go przez pięć czy sześć lat. Tyle czasu potrzebował na ich zwrot. Ostatecznie okazało się, że brakuje wśród nich tego właśnie pisma o polskim obywatelstwie. Zgody na wyjazd oczywiście nie uzyskaliśmy.

dokończenie str. 4

OPISAŁAM...

dokończenie ze str. 3

Dziś emerytowany prawnik, wtedy powstaniec warszawski aresztowany w 1945, znalazł się w Dżezkazganie w roku 1949. Kiedy teraz zobaczył w telewizji Jana Platera- Gajewskiego, zawołał do żony: patrz, to ten hrabia, z którym siedziałem. Pan Romuald Orski pracował tam na III odcinku, w kopalni. Pomagał Janowi Platerowi — tylko pod takim nazwiskiem go znał — bo ten poruszał się wtedy o lasce i miał zaburzenia błędnika.

Z kolei wróciłam do źródła, jakim jest praca Juliana Siedleckiego „Losy Polaków w ZSRR". Nie ukrywam, że pisząc o Janie Platerze-Gajewskim zapomniałam o krytycznym podejściu do materiałów źródłowych. Jest u Siedleckiego mowa o głodówce Jana Platera-Gajewskiego podjętej na Placu Czerwonym w imię budowy kościołów w Karagandzie, Samarkandzie, AłmaAcie i Taszkiencie. Źródłem tej wiadomości jest dla Siedleckiego list z kraju. A co było źródłem dla autora listu? Czy był wtedy na Placu Czerwonym?

Tenże Siedlecki podaje jednak, że do pewnego momentu całą swoją działalność prowadził Jan Plater-Gajewski w ramach Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej i w kraju Polsko- Radzieckiej. To akurat jest prawdą — może tylko tak mógł działać? — ale tej prawdy Jan Plater-Gajewski nie chciał w nowych warunkach upowszechniać. Toteż jej nie upowszechniałam. Inni też nie.

Blaga, Inflanty i Wańkowicz

Wszystko wpadło w pułapkę, przed jaką sam Melchior Wańkowicz ostrzegał wielokrotnie. Wśród zasadzek zastawionych na piszącego widział koloryzowanie, blagę, kłamstwo i wreszcie — mitomanię *bona fide*. Nie szczędził wymownych przykładów, z których jeden jako żywo przypomina ten przypadek. W „Karafce Lafontaine'a" pisze: *jak mógł lata całe działać jako jeden z wybitnych organizatorów życia politycznego emigracji z lat 1831-1863 (...) Bałaszewicz jako Alfred hrabia Potocki? Przecież ród Potockich rozporządza całkowitą dokumentacją genealogiczną, przecież liczni jego członkowie żyli współcześnie i nie zdemaskowali wielkiego mitomana? Co tu jest przyczyną obłędów zbiorowych? Może chciejstwo (...), ale jakież chciejstwo mogło zaślepiać cały in toto klan Potockich, obojętnych dla poczynań ich pseudokrewniaka?*

Przecież ród Platerów rozporządza całkowitą dokumentacją genealogiczną. Jakież więc chciejstwo mogło ich zaślepiać, co spowodowało że Jan Plater-Gajewski może wciąż rozbudowywać swoją legendę i dorzucać coraz to nowe szczegóły? Ostatnio opowiada — w Polsce i w Kazachstanie — o Krasławiu (na Inflantach!), gdzie remontować będzie zrujnowaną posiadłość swoich przodków...

Mit nie rośnie sam

Coś powodowało dziennikarzami, politykami, działaczami. Jan Plater-Gajewski uderzył swoim mitem w najbardziej owrzodziałe miejsce chorej Polski: oto zapomniała o swoich dzieciach. Przez lata całe godziła się na całkowite o nich milczenie. Mit był jej potrzebny „ku pokrzepieniu serc", mit i tylko mit — bo sytuacja Polaków ze Wschodu dalej nie jest uregulowana. Przykład Dominika Platera jest aż nadto wymowny.

Obawiam się, że zgoda na ten mit była przykładaniem naszej miary i naszej wyobraźni do tamtego „innego świata", znanego nam przede wszystkim z lektur i opowieści. Zabrakło nam pokory, którą winniśmy im wszystkim.

Co zostaje, kiedy mitu już nie ma? To właśnie, co jest najtrudniejsze: człowiek ze swoimi słabościami, z osiągnięciami i z upadkami, ze swoją pracą zwyczajną i nadzwyczajnym kłamstwem i w końcu ze swoją próbą wydarcia z codziennego dnia czegoś naprawdę ważnego.

Czy więc Jan Plater-Gajewski, kimkolwiek jest, pozostanie nadal wśród tych sprawiedliwych, którzy upominali się o los Polaków z Kazachstanu i tylko to mieli na względzie?

Barbara Sułek-Kowalska

Daliśmy mu...

dokończenie ze str. 3

— To co pan mówi stawia osobę Jana Platera-Gajewskiego w dwuznacznej sytuacji. Wileńska dziennikarka L. Komaiszko przedstawiła go bowiem jako waszego brata (w polskim miesięczniku „Reporter", nr 4/20 z 1988). Również w innych polskich publikacjach występuje on jako potomek rodu Platerów...

— Nie jest on żadnym naszym krewnym. Na skutek interwencji pani Filomeny Jóźwik ze Szczytna red. Komaiszko skierowała do redakcji „Reportera" sprostowanie, a do nas list z przeprosinami, w których pisze: „Osobiście przestudiowałam linię genealogiczną rodu Platerów w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Litewskiej SRR. Czytałam m.in. »Wypisy z Ksiąg Szlacheckich Guberni Litewsko-Wileńskiej Wywodu Familii Urodzonych Hrabiów z Broel-Platerów (Wilno, M. Przybylski, 1832)« (...) Nie znalazłam nic o Plater- Gajewskich".

Przewodniczący Komisji Historycznej Związku Sybiraków w Warszawie pan Janusz Przewłocki w liście do mojej siostry i do pani Filomeny Jóźwik pisze, że Jana Platera-Gajewskiego nie znalazł w rodzie Platerów. Wreszcie moja siostra sama zwróciła się w roku 1989 do ministra spraw wewnętrznych, wtedy jeszcze PRL, o informację dotyczącą osoby pana Gajewskiego. W odpowiedzi otrzymała szczegółowe pismo z Centralnego Biura Adresowego w Warszawie, z którego wynika, że nie mamy wspólnych przodków. Ze względów oczywistych nie podam tutaj tych szczegółów. Znane są one jednak mojej bliższej i dalszej rodzinie, która zachowuje się w sposób dla mnie niezrozumiały. Odnoszę czasem wrażenie, że swoją obecnością w Polsce zakłócam rodzinne ustalenia, jakie tu zapadły. A przecież Jan Gajewski relacjonując dzieje swojej familii w licznych wywiadach podaje informacje pasujące jak ulał do życiorysu moich przodków!

— Panie Dominiku, jaka jest w związku z tym pańska sytuacja prawna, tu w Polsce?

— Żadna — to jest najprostsza odpowiedź, choć wymaga wyjaśnień. Do tej pory nie ma żadnych przepisów, które umożliwiłyby nam — Polakom ze Związku Radzieckiego — powrót do Polski. Nikt się o to nie troszczy, nikogo to nie obchodzi. Trwam tutaj tyle miesięcy tylko dzięki pomocy przyjaciół i niektórych kuzynów. Nie mam obywatelstwa, nie mam dowodu osobistego, nie mam emerytury — niczego. Dla zesłańców nikt nie ma czasu. Sejm i Senat, rząd i prezydent — nikt nie widzi problemów takich ludzi jak ja. Czy naprawdę nikomu nie jesteśmy potrzebni?

— Czy mimo to zamierza pan w Polsce zostać?

— Zrobię wszystko, żeby tak się stało. Wiem jednak, że będzie to bardzo trudne. Ot, choćby problem mieszkania. Mam jednak nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Chciałbym, żeby mogła powrócić moja siostra z synem. Nie ode mnie to jednak zależy, a od władz polskich i władz radzieckich. Liczę na to, że ten powrót będzie wreszcie możliwy. Chyba, że znowu zginą gdzieś nasze papiery.

Rozmawiał:
Sławomir Parol

Przypadłością prawników bywa nadmierna drobiazgowość a równocześnie selektywność w traktowaniu norm i sytuacji, które przychodzi im interpretować. Nic więc dziwnego, że tak łatwo orzekli, iż każda decyzja głowy państwa zmierzająca do przedterminowego skrócenia żywota obecnemu dychawicznemu Sejmowi oznaczać będzie złamanie Ustawy Zasadniczej, a także początek niszczenia demokratycznego ładu. Gdy jednak nieco szerzej przyjrzeć się temu problemowi, obraz staje się mniej klarowny.

Bałagan w Konstytucji

KONTRY BEZ ASYGNATY

Zatarte kontury powstają na skutek wielu luk i nieścisłości istniejącego prawa państwowego — tworzonego niejednokrotnie przy współudziale tych samych autorytetów, które każą nam bezwzględnie ufać w jego wartość.

Prześledzenie pewnych, pozornie zawiłych kwestii może okazać się bardzo pomocne, przy formułowaniu wyważonych ocen konfliktu, który mamy już za sobą. Przyda się także, aby obiektywnie i bez zbędnych emocji obserwować spory, które nieuchronnie nadejdą.

Zasady przedterminowego rozwiązywania Sejmu (co skutkuje automatycznie rozwiązaniem Senatu) znajdują się w art. 30 ust. 2 Konstytucji i zostały wprowadzone nowelą z kwietnia 1989 roku, jako wynik ustaleń „okrągłego stołu". Prezydent może w myśl tych przepisów rozwiązać parlament, jeśli przez trzy miesiące nie powołuje on rządu lub nie uchwala budżetu. Taką decyzję można także podjąć, jeśli Sejm *uchwali ustawę lub podejmie uchwałę uniemożliwiającą Prezydentowi wykonywanie jego konstytucyjnych uprawnień określonych w art. 32 ust. 2.* Aby podjąć decyzję o rozwiązaniu parlamentu, głowa państwa musi przeprowadzić konsultacje z marszałkami obu izb, choć nie jest zobligowana do przestrzegania ich sugestii.

Ponieważ dwie pierwsze przyczyny nie zachodzą, kluczem do oceny legalności i konstytucyjności działań prezydenta jest art. 32 ust. 2. Powiada on, iż *Prezydent czuwa nad przestrzeganiem Konstytucji RP, stoi na straży suwerenności i bezpieczeństwa państwa, nienaruszalności i niepodzielności jego terytorium oraz przestrzegania międzypaństwowych sojuszy politycznych i wojskowych.* Była to norma w oczywisty sposób skrojona dla prezydenta-generała. Raz jeszcze przy tej okazji okazało się, jak w każdym przypadku ułomne jest tworzenie ustaw ze względu na osobę, która takim aktem będzie się posługiwać. Trudno przy tym zinterpretować ten zapis na tyle jednoznacznie, aby bez obaw ocenić niektóre działania prezydenta. Obecnie oczywiście nie mamy sytuacji zagrażającej niepodzielności terytorium czy przestrzeganiu sojuszów. Zwłaszcza tych ostatnich, po śmierci Układu Warszawskiego, trudno się doszukać.

Znacznie trudniejsze byłoby jednak zinterpretowanie takich czy innych faktów, gdyby prezydent powołał się na swoją rolę strażnika Konstytucji, suwerenności czy bezpieczeństwa. Jedyny uprawniony do takiej wykładni Trybunał Konstytucyjny miałby zapewne trudny orzech do zgryzienia.

Gdyby jednak prezydent zdecydował się przedterminowo rozwiązać Sejm, posługując się kontrowersyjną zapewne, lecz mieszczącą się w granicach kulawego prawa wykładnią, wówczas napotkałby dwie dodatkowe przeszkody:

Nowela konstytucyjna z 19 kwietnia 1991 roku wprowadziła w art. 21 ust. 2 i 3 zasadę, iż nawet w przypadku rozwiązania parlament będzie pracował aż do chwili zebrania się nowego Sejmu i Senatu na pierwsze posiedzenie. Oznacza to, iż w sytuacji bardzo poważnego i ostrego konfliktu przynajmniej część posłów i zasiadających na Wiejskiej ugrupowań mogłaby odpowiedzieć próbą postawienia prezydenta przez Trybunałem Stanu (w myśl art. 32 d. ust. 2). Musiałoby to nastąpić po uzyskaniu zgody dwóch trzecich członków Zgromadzenia Narodowego.

Trudno ocenić, na ile wiarygodne są plotki o gotowości do podjęcia tego typu kroków odwetowych w przypadku zdecydowanej akcji prezydenta przeciw izbie. Gdyby jednak doszło do tego rodzaju działań z obu stron, przyniosłoby to poważne szkody naszej reputacji, a także obniżyłoby polską wiarygodność jako kraju zdecydowanie dążącego do demokratycznego systemu politycznego.

Przyglądając się uważniej naszej Ustawie Zasadniczej można dostrzec wiele niebezpiecznych luk. Od dwu lat nikt nie zatroszczył się na przykład o przygotowanie ustawy o kontrasygnacie aktów prezydenta. W obecnym stanie prawnym w ramach swych wcale pokaźnych kompetencji (jest ich ponad 18) prezydent może podejmować wszelkie decyzje, i nikt nie będzie za nie ponosił politycznej odpowiedzialności.

W normalnie funkcjonujących krajach odpowiedzialność przyjmuje minister składający wraz z głową państwa podpis pod stosownym aktem. Zwykle brak takiej zgody powoduje zmianę postanowień prezydenta lub monarchy albo ustąpienie krnąbrnego ministra — sytuacja jest jednak wystarczająco klarowna. U nas ta niewielka z pozoru luka może spowodować poważne perturbacje, zwłaszcza kiedy prezydent będzie musiał współdziałać z rządem posiadającym większość parlamentarną, a stworzonym przez osoby i partie niekoniecznie związane z obozem belwederskim.

Zadziwiająca jest obojętność, z jaką politycy i eksperci pomijali te problemy. Dokonując wielokrotnie zmian konstytucji, zajmowano się niezwykle istotnymi kwestiami lingwistycznymi, lecz nie poświęcono uwagi zasadom funkcjonowania najwyższych władz i relacjami między nimi. Nieudana próba przegłosowania wotum nieufności powinna podziałać otrzeźwiająco, zważywszy łatwość, z jaką doszło do przeprowadzenia całej akcji. Tymczasem w większości krajów, dawno już wprowadzono szczególne procedury (zawarte niejednokrotnie w konstytucji), uniemożliwiające nagłe i niespodziewane, lecz całkowicie demokratyczne obalenie rządu.

Analizując istniejącą nadal Ustawę Zasadniczą nie sposób jednoznacznie i w miarę precyzyjnie orzec, czy gdyby doszło do przedterminowego rozwiązania Sejmu, byłoby to działanie zgodne lub niezgodne z konstytucją. Wynika to z charakteru dokumentu, który miałby posłużyć za wzorzec.

Nie można jednak równocześnie oczekiwać, iż dogorywający Sejm podejmie zdecydowane działania porządkujące bałagan konstytucyjny, który powstawał przez kilka lat. Rozwiązując obecnie Sejm prezydent decydowałby się więc na niezwykle ryzykowne rozwiązanie. Nie tylko dla siebie jako polityka i najwyższego reprezentanta państwa. Taka decyzja doprowadziłaby do niepotrzebnego konfliktu także z tymi, którzy mimo widocznej niechęci i zadawnionych urazów mogą jeszcze w przyszłości być interesującym partnerem (Unia Demokratyczna, część środowisk liberalnych). Prezydent w starciu z parlamentem uzyskał i tak znaczące sukcesy. Zdołał także zebrać pewien polityczny kapitał na najbliższą przyszłość, który zapewne jesienią zostanie uruchomiony.

Opłakany stan prawa sprawia, iż jednoznaczne i arbitralne interpretacje nie są w wielu przypadkach możliwe. Możliwe jest natomiast nieustannie poprawianie ułomnych przepisów i rozsądne działania polityczne. Bez względu na gorącą atmosferę polityczną. Nie warto przy tym co chwila rozdzierać szat i oskarżać Lecha Wałęsę o dyktatorskie inklinacje a także nieprzepartą chęć niszczenia demokracji. Zwłaszcza utyskiwanie na wiecową formułę uprawiania polityki wygląda dość śmiesznie i żałośnie zarazem. Demokracja niejedno ma imię.

Marek Szczepanek

Rys. Krzysztof Klejzerowicz

Słusznie i naukowo

Było zimno — narzekaliśmy na zimno. Było upalnie — narzekaliśmy na upały. Zdaje się, że nie jesteśmy stworzeni do życia w ekstremach. Przeznaczeniem naszym średniość, stan umiarkowania. Zacni nasi przodkowie już w szesnastym stuleciu podnosili ten stan do godności cnoty. Istnieje nawet teoria, że najwyższe osiągnięcia cywilizacyjne mogły się zrodzić tylko w umiarkowanej strefie klimatycznej. Gorąca nie mobilizowała zamieszkujących je społeczności do wysiłku życia; zimna przeciwnie; pochłaniała prawie całkowicie siły do utrzymania się przy życiu. Teoria jak teoria — do przemyślenia, o ile komuś jeszcze chce się myśleć. Wolimy raczej narzekać i to nas niewątpliwie wyróżnia wśród społeczeństw z zapałem kroczących w XXI wiek. Które na pytanie: „jak leci"? nigdy nie odpowiadają: „jak krew z nosa", lecz zawsze: „świetnie".

Ironizowała kiedyś poetka Wisława Szymborska, że najlepiej charakteryzuje nas przyrostek -awy. Nie biały — białawy. Nie czarny — czarniawy. Nawet nie szary — szarawy. Czyste kolory? Może w sztuce. W życiu — kolory „życiawe". Złamane, zmieszane, rozmyte.

Prawdopodobnie dziewięćdziesiąt dziewięć procent tzw. życia przebiega rutynowo, normalnie; „leci średnio", by nie rzec „średniawo". Dlatego też — tkwiąc bezpiecznie pośrodku — chętnie filujemy na skrajności. Wyjątek ma większe wzięcie od reguły.

Tysiące samolotów codziennie startują i lądują bezpiecznie. Ale gdy jeden się rozbija — katastrofa znajdzie się na czołówkach wszystkich agencji świata. Tysiące statków dziennie wychodzą w morze, żeglują i zawijają bezpiecznie do portów, ale gdy jeden zatonie... Miliony samochodów dzień w dzień jeżdżą bez wypadków, ale liczy się tylko wypadki... Miliony czytelników na świecie zaczynają lekturę gazet od nekrologów, by utwierdzić się w przekonaniu, że umierają tylko inni. Informacyjny zgiełk wokół ziemskiego globu jest pełen wiadomości nadzwyczajnych, niezwykłych, wyjątkowych, osobliwych. W to wchodzą anomalne zjawiska natury. Wybuchają wulkany, rzeki występują z brzegów i zalewają całe krainy, trzęsie się ziemia, osuwają lawiny, szaleją huragany...

Nie dziw, że nieodmiennym powodzeniem cieszy się w świecie „Księga rekordów" (na ogół idiotycznych) Guinessa. Żeby do niej trafić, trzeba np. mierzyć 260 cm albo ważyć 260 kg, wyhodować najdłuższy warkocz lub paznokieć, zjeść 300 jaj na twardo lub wypić 100 kufli piwa itd., itp. Onegdaj w cyrkach i łunaparkach najwyższą atrakcją były kobiety z brodą. Najlepiej do tego karlice. Błaznami były z reguły karły; już samą posturą potrafiły trefnić.

Pokazują w niemieckiej telewizji faceta, który nauczył szympansa małpować Michaela Jacksona. Wesołość, że boki zrywać. Sam Michael Jackson, też człowiek z kategorii wyjątków, w wydanej i u nas autobiografii („Moonwalk"), we fragmencie drukowanym przez „Express" nr 136, tak opowiada o swoich chłopięcych doświadczeniach ze striptizem: w wieku dziewięciu lub dziesięciu lat podglądał zza kulis striptizerkę Mary Rose, fantastyczną, ale to było tylko małe piwo, forszmak.

„Później, kiedy występowaliśmy w nowojorskim Apollo Theater, zobaczyłem coś co naprawdę zaparło mi dech, ponieważ nie miałem pojęcia, że takie rzeczy istnieją. Widziałem już wtedy sporo striptizerek, ale tego wieczora występowała dziewczyna odznaczająca się wspaniałymi rzęsami i pięknymi długimi włosami. Wykonywała swój numer naprawdę wspaniale. W pewnym momencie zerwała perukę, wyjęła spod stanika dwie pomarańcze, i okazało się, że pod całym jej makijażem kryje się twarz mężczyzny. Zupełnie mnie to zaskoczyło. Byłem tylko dzieckiem i nawet nie wyobrażałem sobie czegoś w tym rodzaju. Kiedy jednak wyjrzałem na widownię, zobaczyłem, że publiczność klaszcze jak szalona i wrzeszczy z zachwytu.

Poważny wywód ilustruję komedianckimi przykłady dla kontrastu. Tylko bowiem na tle kontrastów szarość uzyskuje głębię i soczystość. Ja produkuję parę, a ty gwizdki. Razem zrobimy świetny interes.

Myślałby kto, że codzienne zachłystywanie się ekstremizmami życia bierze się z przemożnej chęci wyrwania się z szarości. Być może. Optowałbym jednak za chęcią upewniania się i pozostawania w strefie pośredniości — najbezpieczniejszej. Poczytać, pooglądać, pomarzyć — owszem. Ale nie brać w tym udziału. Bo tak naprawdę kochamy spokój, kapcie i rutynę.

Kpił kiedyś gorzko Osip Mandelsztam (o, drugi poeta w tym tekściku!) z ludzkich złudzeń: ludzie myślą, że jeśli po ulicach normalnie kursują tramwaje, to ten kraj jest normalny. Nie kpiłbym z tej normy normalności. W końcu tramwaj to dość solidny pojazd. Ludzie czepiają się znacznie tandetniejszych rzeczy i pojęć, aby móc stwierdzić z ulgą: a jednak jest jak być powinno. W normie.

Kwerendarz

Od folbluta do... Jonesa

Bardzo niechętnie wyrażam swoje refleksje na temat tekstów przeczytanych w prasie, ale czasami teksty te są tak ekspresyjne, że (nie mogę się oprzeć, powiedziała pewna pani do napierającego, zadzierając kiecy i opierając się o piec) siadam i piszę do tego, kto mnie zainspirował.

W tym swoistym recenzowaniu, trudno o odkrywczość, zwłaszcza jeżeli ma się do czynienia z jędrną prozą Kwerendarza w „Folbucie" lub z nie mniej jędrną, powiedziałbym nawet: lapidarną, skrótową wykładnią na temat filozofii życia Parapetnika w „Skąd do wieczności?" — którzy piszą obok siebie na str, 5 TG nr 26/91.

Moja niechęć do wypowiadania się pisaniem na pisane bierze się z przekonania, że to jest masło maślane i z doświadczenia, że wywołane w ten sposób polemiki są najgłupszym rodzajem dialogu między niekoniecznie najgłupszymi ludźmi, a zalegające z tych przyczyn milczenie, później, po dyskusji, która niczego nie zmieniła, leży między interlokutorami ciężkim kamieniem obrazy.

Jeżeli chodzi o „Folbuty", to rozumiem, że Kwerendarz po prostu informuje czytelników, o czym informuje czytelników- koniarzy niejaki pan Jakub Dinard-Dynarzewski w miesięczniku „Champion" (chyba nr 1), że folbut ogier Wałęsa jest pełnej krwi od Danziga i że wiedzie swój rodowód od roku pańskiego 1716, kiedy to, jak z baśni Szecherezady, pojawił się, zmaterializował protoplasta „pnia Wałęsy", Darley Arabian.

Ale mnie nie chodzi o to, pod jakim dżokejem folbut ogier Wałęsa będzie wygrywał czy przegrywał galopady, ale o to, jak taka paranoja mogła w ogóle zrodzić się w umyśle człowieka, który chociaż tylko de Kwiatkowski, ale przecież którego „szlachectwo zobowiązuje". A może się mylę? Może to dotyczy tylko koni pełnej krwi?

Delikatnie mówiąc (chociaż lubię konie), gdyby taki miłośnik koni i pseudopatriota, jak pan de Kwiatkowski, nazwał jakiegoś Bucefała moim rodowym nazwiskiem (chociaż jest bez „de"), wcale bym się nie odwoływał do Kodeksu Boziewicza i nieużywał do tego rękawiczki.

Na szczęście nie jestem wybitnym Polakiem i żaden kopnięty w „de" koniarz nie będzie wygrywał (nawet w przenośni) na mnie Wielkiej Pardubickiej, Derby w Paryżu ani zapładniał folbut „Esmeraldę", nie mówiąc o zwykłej kobyle od Macieja.

Strawestowany przez Parapetnika tytuł książki Jonesa „Stąd do wieczności" dla felietonu na temat długowieczności życia ludzkiego, ujętego w czterech punktach i zakończonego pytaniem nie tylko o sens tak długiego istnienia (600 lat), lecz i bardziej przyziemne trwanie w czasie tak długim, np. kadencji sejmowych, jest i intrygujący, i przewrotny.

Wymieniony w felietonie głosiciel teorii długowieczności, niejaki pan profesor Roy Walford z Uniwersytetu w Los Angeles, na razie winszuje sobie tylko 170 życia, wtryniając korzonki lebiody, młode pędy kasztana, kłącza ostu pospolitego i zapijając to szklanką źródlanej wody, raz dziennie. Takie niedożywienie — dieta uboga — znawcy przedmiotu zwą hipokaloryczną (od greckiego hypo-pod i łacińskiego — calor-ciepło, a więc dosłownie: pod-ciepło, czyli: zimno.

Teoria może więc brzmieć: Nie martw się, jeżeli masz zimne nogi, to jeszcze nie znaczy, że kopnąłeś w kalendarz.

Odpowiedź na drugi człon pańskiego bardzo rozsądnego pytania, o długość kadencji sejmowych, w czasie tak długiego życia, jest prosta. Jeżeli to nie będzie sejm komunistyczny, będzie trwał co najmniej tysiąc lat, jak Pan i ja.

Jeżeli taki jak teraz mamy, to niech go Wałęsa rozwiąże jutro. Dla mnie ten sejm, od okrągłego stołu z kantami, nie istnieje. Nie może trwać coś, czego nie ma.

Zdzisław Zygfryd Zubko
Gdańsk

CICHY obieg

„Zgniłki"

W ostatnich miesiącach często zwykło się mówić o nastrojach antyklerykalnych w części naszego społeczeństwa. Istotnym uzupełenieniem tych dyskusji może być przykład pewnego krakowskiego pisma, o którym bez większego ryzyka powiedzieć można, że jest antychrześcijańskie i za takie też chce uchodzić.

Od ponad roku w Krakowie ukazuje się niskonakładowe pisemko o wdzięcznym tytule „Smok Wadżry", mające tytułem nawiązywać jakoby do wielkich religii Wschodu. Pismo jest organem heretyckiego Kościoła Poszukującego Prawdy, a jego redaktorem jest Jacek Sieradzan. Jego też wydrukowany w 29/30 numerze tekst „Ślepa wiara" jest programowo antychrześcijański. Artykuł zawiera cytaty ludzi z tytułami profesorskimi, którzy uznają „że tak na dobrą sprawę to do dzisiaj nie wiadomo kim był Jezus". „Profesor teologii (!?) z Londynu H. Schonfield po zbadaniu rękopisów znad Morza Martwego doszedł do rewelacyjnych wniosków a mianowicie, że historyczny Jezus zaplanował swoje aresztowanie, ukrzyżowanie i zmartwychwstanie, przewidział, że na krzyżu otrzyma narkotyk, dzięki któremu uda mu się symulować śmierć by potem po zdjęciu z krzyża, móc kontynuować swą działalność i wypełnić proroctwa mesjańskie". Dla J. Sieradzana interesujące jest również to, że do identycznego wniosku (Jezus nie umiera na krzyżu, tylko zapada w omdlenie na skutek podania mu halucynogenu) doszedł, opierając się głównie na badaniach Całunu Turyńskiego, rozmaitych przekazów i własnej podróży do Indii, niemiecki tym razem uczony Holger Kersten — autor pracy „Jezus żył w Indii", która jest dostępna w języku polskim w „underground papers". „Kersten utrzymuje, że szesnaście nieznanych z Ewangelii lat życia Jezus spędził w Indii. Gdzie zetknął się z naukami hinduskimi, buddyjskimi i dżinijskimi. Po szczęśliwym przeżyciu ukrzyżowania wyruszył w swą drugą wyprawę na Wschód i w podeszłym wieku zmarł w Srinagar".

Obok tego, zaskakującego artykułu w tym samym numerze odnajdujemy tekst Osha Rajneesha, który w oczach autorów pisma uchodzi za nosiciela „największej inteligencji w dziejach ludzkości" i za „największego ateistę". Artykuł „Chrześcijaństwo: Najbardziej śmiertelna ze wszystkich trucizn" — to credo środowiska.

„Największa inteligencja" tak pisze o chrześcijaństwie: „Chrześcijaństwo to kolosalna propaganda. Mówią, że są obrońcami prawdy, ale prawdy nie trzeba bronić prawda jest oczywista, toteż całe chrześcijaństwo żyje w paranoi". Wielkim niebezpieczeństwem dla ludzi w chrześcijaństwie jest nadzieja: „Nadzieja nie przyczynia się do postępu ludzkości. Zapobiega postępowi. Sprawia, że ludzie zaczynają wierzyć w sny". Ponadto żadna religia nie może „istnieć bez tworzenia w ludziach strachu, chrześcijaństwo przyjęło strategię winy, która opętuje człowieka i tworzy jego własny strach".

Tekst ten dobrze ilustruje proces rozpadu struktury społecznej, który po raz pierwszy przedstawił socjolog francuski Durkheim. Uznał on, że „rozpad społeczny zaczyna się do rozpadu religii, później przychodzi rozkład moralności, dalej rozkład teoretyczny, sceptycyzm i wreszcie rozkład prawa, chaos".

Redaktorzy „Smoka Wadżry" bez wątpienia należą do kategorii „zgniłków", których ojciec Józef Maria Bocheński określa jako „wynik rozkładającego się społeczeństwa produkującego ludzi, którzy nie wierzą w prawdę". A jest to tym dziwniejsze, że wiarę w prawdę zakłada nauka i technika.

Maciej Żakiewicz

Anteny

Może będzie lepiej

Tak twierdzą eksperci OECD — Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, grupującej bogate kraje Zachodu. Lepiej ma być... w Polsce i to już w tym roku. Właśnie nasz kraj powinien — jako jedyny z byłych demoludów — pod koniec tego roku uzyskać wreszcie wzrost dochodu narodowego, pierwsze profity z reform i całych lat wyrzeczeń. Taki optymistyczny wniosek zawarty jest w raporcie OECD na temat sytuacji gospodarczej i politycznej w krajach byłego obozu socjalistycznego. Jest to kolejny z całej serii podobnych raportów, opublikowanych ostatnio przez różne nobliwe międzynarodowe organizacje lub instytucje, a komentowanych kolejno przez Lechosława Gawlikowskiego z Radia Wolna Europa.

W porównaniu do omawianego w poprzednim odcinku „Anten" raportu Banku Światowego, wnioski ekspertów OECD dają iskierkę nadziei na poprawę sytuacji w naszym kraju w najbliższej przyszłości. Podobny charakter ma też analiza opublikowana przez ONZ, choć i tu stwierdza się, że polityczna przebudowa Europy Środkowo-Wschodniej oraz Związku Sowieckiego będzie kształtować oblicze polityczne i ekonomiczne tego regionu jeszcze przez wiele lat, przez całe generacje.

Według OECD w ubiegłym roku kraje tej części Europy odczuły z całą siłą koszty przemian, przechodzenia do gospodarki rynkowej, nie widać było zaś jeszcze wyników tych reform. Zanotowano największy od wojny spadek produkcji, a dochód narodowy spadł o jedną dziesiątą w Europie Wschodniej i o jedną dwudziestą w ZSRR, zaś bezrobocie wzrosło do poziomu zachodnioeuropejskiego. Dochód narodowy najsilniej spadł w Polsce i w Bułgarii — trzy a nawet cztery razy niż w CSRF, na Węgrzech czy w ZSRR. Jednakże w tym roku Polska wysuwa się na pierwsze miejsce! OECD przewiduje, że tylko u nas nastąpi wzrost dochodu narodowego wytworzonego — o około 2 proc. W Bułgarii zmian raczej nie będzie, za to dno recesji właśnie w tym roku przejdzie nieco spóźniona w reformowaniu swej gospodarki CzechSłowacja. Dochód narodowy zmniejszy się tam w stopniu trzykrotnie większym niż w roku 1990. Dwukrotnie większy spadek szykuje się w ZSRR.

Całkiem nieźle w oczach ekspertów OECD kształtują się perspektywy polskiej gospodarki w roku przyszłym. Dochód powinien wzrosnąć o 4 proc. Nie jest to oczywiście tempo wzrostu, którego byśmy sobie życzyli, jednakże na tle pozostałych postkomunistycznych gospodarek prezentuje się najlepiej — jak na lidera reform przystało.

W raporcie ONZ znalazła się analiza sytuacji politycznej jako następstwa recesji i wzrostu bezrobocia. Stwierdzono, że nie spełnione nadzieje społeczeństw krajów Europy Wschodniej zaowocowały powszechnym pesymizmem co do przyszłości reform ekonomicznych. Jednocześnie podkreśla się w raporcie, że nadzieje te nie mogłyby być spełnione nawet w bardziej korzystnych warunkach międzynarodowych. Konsekwencje przejścia od gospodarki komunistycznej do wolnorynkowej zawsze różniłyby się zasadniczo od oczekiwań. Spośród wielu nadziei formułowanych rok temu, spełniono bardzo mało. Niektóre z nich będą nierealne jeszcze długo. Istnieje obawa, że te nie spełnione nadzieje staną się czynnikiem komplikującym reformy, jeśli wysuną się na czoło w życiu politycznym, a nałożenie się trudności politycznych na ekonomiczne może być szczególnie niebezpieczne.

Zdaniem ekspertów ONZ zawiedzione nadzieje wynikają z błędnych oczekiwań co do zakresu i charakteru zmian, a przede wszystkim — ich negatywnych skutków na krótką metę. Załamanie RWPG i gorsza koniunktura w świecie tylko zwiększyły trudności. Przechodzenie do gospodarki wolnorynkowej okazało się procesem bardziej skomplikowanym, niż oczekiwano, wymagającym większych wyrzeczeń i oszczędności.

Większość krajów Europy Środkowowschodniej ma nadzieję, że w tej sytuacji Zachód pośpieszy im z pomocą. Jest to jednak mało prawdopodobne. W efekcie — zdaniem autorów raportu ONZ — może to podważyć ruch reform, oraz stabilizację społeczno- polityczną regionu.

Społeczne i polityczne zagrożenie dla programu reform widać w Polsce coraz wyraźniej. Przejawiają się one zarówno powszechnym pesymizmem, jak i nierealistycznymi roszczeniami i żądaniem rewizji polityki gospodarczej rządu. Można się obawiać, że zjawiska te nasilą się w okresie kampanii wyborczej. Najskuteczniejszym lekarstwem na nie byłyby wymierne sukcesy gospodarcze, pomyślne następstwa reform. Oby sprawdziły się optymistyczne w stosunku do Polski przewidywania autorów raportu OECD.

ATG

Ludzie go kochają hierarchia nie lubi...

Była to msza, którą będę pamiętała długo. Takiej oprawy, takiego dopracowania w każdym szczególe, takiej elegancji, nie spotyka się często. Obchodzący pięćdziesięciolecie kapłaństwa ksiądz prałat Hilary Jastak błysnął nią, na wzór tej gwiazdy, co się przed zgaśnięciem rozżarza. Potem było przyjęcie na sto osiemdziesiąt osób przy artystycznie zastawionych stołach, w ciepłej, familiarnej atmosferze, gdzie każdy czuł się pożądanym gościem.

Pochodzi z Kościerzyny, gdzie jego ojciec pełnił wysokie funkcje w zarządzie miasta, łącznie ze stanowiskiem burmistrza. Przeniesiony do Gdyni, na każdym kroku podkreślał swoją kaszubskość, co jest łatwe dziś, ale nie było takim w roku 1946. Słaby to człowiek, który wstydzi się swoich korzeni, a ksiądz Jastak do słabych nie należy. „Stanowił dla nas zawsze wzór *vir fidei intrepidae* — męża wiary nieugiętej" — powiedział jeden z konfratrów.

Tę nieugiętość dobitnie pokazał, gdy go w 1950 roku zamknięto w więzieniu za działalność caritasową. Wszystkie przesłuchania zaczynał od energicznego protestu, a w celi duszpasterzował tak skutecznie, że kobieta spowiadana przez dziurę w ścianie, wstąpiła po uwolnieniu do klasztoru. I właśnie pod takim znakiem upłynęło całe życie księdza: protest przeciw niegodziwościom władzy i duszpasterstwo wszechstronnie pojmowane.

Najpierw był Caritas.

W ciągu roku zorganizował go w Gdyni na taką skalę, że przyjechał wizytować sam prymas Hlond. W mieście i okolicy kuchnie ludowe dla repatriantów — bo w 1946 roku prawie wszyscy byli repatriantami — wydawanie żywności, odzieży, pomoc materialna, kolonie letnie dla dzieci. W następnym roku kolonie w Białej Górze dla 400 dzieciaków, a także studentów z Wyższej Szkoły Handlu Morskiego, których był duszpasterzem akademickim.

Chmarą dzieci opiekowali się klerycy z seminarium pelplińskiego, z czego wynikała podwójna korzyść: dzieci miały katolickie wychowanie, klerycy wyżywienie (później także stypendia) i doświadczenie w pracy z młodzieżą. Ksiądz dyrektor dowoził z Gdyni artykuły żywnościowe, odprawiał codzienną mszę (wybudowano własną kaplicę) i z zapałem bawił się z dziećmi. Kiedyś tak autentycznie zagrał Babę Jagę, że jedna z dziewcząt zemdlała. Z czasem siedziba letnich kolonii stała się całorocznym miejscem pobytu dla osieroconych chłopców.

Władza ludowa, która wówczas nie poczuła jeszcze swojej siły, dodała na początek własnego wychowawcę i kazała wypłacać mu pensję. Caritas nie stracił dużo, bo wychowawca nie wytrzymał „klerykalnej atmosfery" i zwiał. Tak trwało trzy lata. Jesienią 1949, gdy wakacyjni goście wyjechali, przysłano milicję, która wyrzuciła chłopców z sierocińca. Odchodząc, widzieli jeszcze, jak milicjanci dewastują pomieszczenia, wyrzucając dobytek na dwór. (Na ironię zakrawa fakt, że w „Bedekerze kaszubskim" jest mowa o „domu chłopców", bo tak sierociniec nazywano, a nie ma nawet wzmianki o księdzu).

Ksiądz Jastak przestał być wówczas dyrektorem Caritasu. Na żądanie władz, biskup Kazimierz Kowalski zdjął go z tego stanowiska i zrobił proboszczem, w specjalnie w tym celu erygowanej parafii. Posunięcie prawdziwie dyplomatyczne.

W styczniu 1950 rozbito Caritas w atmosferze apokaliptycznej nagonki na księży. W całym kraju organizowano masówki i wiece protestacyjne, na których zebrani „demaskowali" Caritas. Księży zatrzymywano na ulicy (był czas kolędy), zabierano z domów, wzywano pod zmyślonymi pretekstami i organizowano „konferencje" potępiające. Właśnie wtedy powstał termin „ksiądz-patriota" określający księdza, posłusznego władzy państwowej. Nieposłusznych atakowano imiennie w prasie:

„Może ks. dyr. Jastak da swemu sumieniu kapłańskiemu odpowiedź, co przechowywał w tajnych magazynach jak np. u franciszkanów, do których oprócz ks. Jastaka i wtajemniczonej kliki zarządu gdyńskiego nikt nie miał dostępu. Były tam z pewnością dary Rady Polonii Amerykańskiej, przeznaczone dla wdów, sierot i biedaków, którzy wracali z obozów koncentracyjnych. Czy doszły jednak do tych rąk? Nie jest dziś również dla katolickiego społeczeństwa Wybrzeża tajemnicą, że z polecenia i pod ścisłą kontrolą ks. Jastaka wywieziono samochodami dary, jak żywność i odzież do seminarium duchownego w Pelplinie, dary przeznaczone dla ubogich Wybrzeża".

Tak pisał, nakłoniony do tego przez funkcjonariuszy UB, ksiądz Robert Rompa, a publikował „Dziennik Bałtycki". Ksiądz Jastak pozwał autora tego paszkwilu przed Sąd Duchowny, ale sprawa się odwlokła, bo wkrótce został aresztowany. Potem, po uwolnieniu, miał głowę zajętą interwencjami o uwolnienie matki i członków zarządu Caritasu, dopiero więc gdy wszyscy wyszli z więzienia (władza przez pół roku po podpisaniu porozumienia państwo-kościół była liberalna), mógł zadbać o jej wznowienie.

Nieszczęsny ksiądz Rompa bronił się jak lew. Pisał do Sądu Duchownego: *„Powstaje pytanie, kto był i jest bardziej poszkodowanym, ks. Jastak czy ja? Ks. Jastak wyszedł z całej sprawy bez najmniejszego uszczerbku moralnego i materialnego, sprawę ostatecznie zlikwidowano. Natomiast jak wygląda moja osoba w oczach J.E.Bpa Ordynariusza i w ogóle władzy duchownej?"* Fakt.

Z pracą charytatywną na wielką skalę miał nasz bohater do czynienia raz jeszcze. Po 1956 roku uczynił go prymas Wyszyński pełnomocnikiem „Przedstawicielstwa Prymasa Polski dla spraw pomocy zamorskiej biednym". Przedstawicielstwo miało swoją siedzibę na plebanii kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa, tu sporządzano rozdzielniki nadchodzących transportów na cały kraj. Po trzech latach akcja została przerwana. Państwo kazało sobie płacić za przysyłane dary wysokie cło.

Jednocześnie budował kościół. Gdy wreszcie powstała plebania, ważne miejsce zajęły w niej instrumenty kaszubskie, tabakiera Abrahama i „pierwsza pomoc w cierpieniach wewnętrznych": pudło z cukierkami, imitujące księgę — stałe akcesoria do zabawiania gości. Coraz częściej

nazywany był Królem Kaszubów,

co ma uzasadnienie w regionalnej tradycji. I rządził.

Zanim dotarły wskazania soborowe, dotyczące apostolstwa świeckich, działały tu rady parafialne, charytatywne, duszpasterskie i rozmaite bractwa. Ludzie się garnęli, bo dostrzegał wszystkich. Posiadł tę trudną umiejętność, dzięki której każdy w jego obecności czuje się ważny. Ale też dlatego każdy staje się satelitą, krążącym wokół centralnej postaci księdza. Tak powstała wspólnota z Królem jako osobą centralną. Liczni jej wierni trwają przy nim do dziś. To właśnie oni zorganizowali jubileusz z przyjęciem na sto osiemdziesiąt osób.

Wspólnota rozszerzała się daleko poza ramy parafii. Ksiądz Jastak utrzymywał bliskie kontakty z grupami młodzieży z Wrocławia, Radomia, Warszawy. Dziewczęta otrzymywały pierścionki z Matką Boską na znak „zaręczyn" z Królem Kaszubów — zobowiązywało je to do przekazania informacji o zaręczynach właściwych i prośby o błogosławieństwo. Chłopcy dostawali na znak wstąpienia na dwór Króla medaliki. Młodzież to lubiła, bo lubi wszystko, co odbiega od sztampy. Bywało więc, że wywiązywała się z danych obietnic — wiele listów jest prawdziwie wzruszających.

Bawić się ksiądz lubi i potrafi. Bywa i dziś, że wybiega nagle z kąta jako stara baba z okropnym zezem... Toteż podziw bierze, do jakiego stopnia odmienia się, gdy rzecz dotyczy liturgii. Na stopnie ołtarza wstępuje już prawdziwy dostojnik Kościoła. W czasie mszy nie może być pośpiechu ani uchybień, jest powaga, podkreślająca doniosłość chwili. Iluż biskupów, gdyby nie purpura, wyglądałoby przy nim jak tłuści wiejscy proboszczowie.

W parafii kościoła NSPJ jest archiwum — drugiego takiego nie ma chyba w całym kraju — w którym każde najdrobniejsze działanie zostało opisane. Są więc także dokumenty, dotyczące niedoszłej do skutku pielgrzymki do Rzymu, kiedy to „grupę kaszubską" odesłano do domu po dwóch dniach koczowania na lotnisku. Dyrektor Orbisu do dziś pewnie budzi się z krzykiem, jeśli we śnie pojawi się mu ksiądz Jastak. Lawina listów protestacyjnych i różnego rodzaju interwencje spowodowały, że Orbis zapłacił nie tylko za bilety uczestników pielgrzymki z Gdyni do Warszawy i z powrotem, ale i za fotografie do paszportów i wiz, taksówki, którymi jeździli po Warszawie szukając sprawiedliwości, za noclegi, wyżywienie, nawet szatnie i toalety. Na koniec dyrektor przeprosił i zaproponował cztery terminy wyjazdów w następnym roku.

Tę samą metodę nękania listami stosował ksiądz w stanie wojennym. Był to jednak inny wymiar spraw, a czy protesty wywarły jakiś skutek, trudno powiedzieć. Może tylko w przypadku sędziego Andrzeja Grzybowskiego, który do dziś pamięta list, jaki do niego, swego parafianina „stojącego zawsze za filarem", wysłał probosz z żądaniem zweryfikowania jednego z wyroków.

Nie do policzenia są ludzie, którym ksiądz Jastak pomógł materialnie. I nie chodzi o paczki, te rozdawano w każdej parafii. Chodzi o konkretną pomoc finansową. Wcale nie trzeba było po to do niego przychodzić. Wiedział dużo i gdy widział potrzebującego,

wysyłał pieniądze przez umyślnego.

Wcale go nie obchodziło, czy to jego parafianin czy nie. Mógł oczywiście, zamiast rozdawać pieniądze, kupić sobie samochód. Bo do dzisiaj nie ma ani samochodu, ani telewizora. Niedawno dostał w prezencie telewizor kolorowy i zaraz oddał młodożeńcom na dorobku: „Przeszkadzałby mi w odmawianiu brewiarza" — skwitował. Mniej też miałby czasu na rozmowy z ludźmi. Zna tajemnice połowy Gdyni, mnóstwo ludzi do dziś przychodzi z prośbą o radę. Kochają go. Nie lubi go natomiast dzisiejsza hierarchia.

Kiedy powstała idea mianowania w Gdyni biskupa pomocniczego w kościele, który był jego dziełem, dosyć miał zasług, aby nim zostać. Jest przy tym wykształcony — dr teologii moralnej w dziedzinie homiletyki, znawca prawa kanonicznego, a przede wszystkim prawa karnego i cywilnego. Zna miasto z wszelkimi niuansami, ma szerokie kontakty w kraju i za granicą. Poza tym — o czym z naciskiem mówił senior diecezji chełmińskiej, infułat Lidtke — jest wyśmienitym organizatorem. Był zatem osobą najbardziej na to stanowisko predysponowaną. Czekano, aż odejdzie na emeryturę. Ułatwił zadanie innym — odszedł wcześniej.

Wszyscy byli pewni, że na uroczystości jubileuszu pięćdziesięciolecia kapłaństwa podniesiony zostanie do godności infułata — otrzymywał nawet tytułujące go w ten sposób listy. Nie został nawet kapelanem AK, o co prosili biskupa akowcy. Wcześniej także nie doczekał się uznania ze strony Kościoła: kapłana, który jak mało kto z duchowieństwa przyczynił się do zwycięstwa „Solidarności", nie dopuszczono do koncelebrowania mszy w Gdańsku, w dziesiątą rocznicę porozumień sierpniowych. Stał w tłumie.

Doceniła go Gdynia. Prezydent miasta Franciszka Cegielska, przewodniczący Rady Miasta Jerzy Biedrzycki i sekretarz Piotr Milewski wręczyli księdzu prałatowi, nadany przez Radę Miasta, tytuł Honorowego Obywatela Miasta Gdyni i odznakę „Zasłużony dla miasta Gdyni".

Ksiądz Jastak już się rozlicza z życiem. Meble i swoje kaszubskie zbiory, wśród których stale przebywał, umieścił u sióstr urszulanek, tworząc swoiste muzeum. Przez całe życie wypłacał stypendia, powołał więc „Fundację pomocy stypendialnej w Gdyni im. ks. Hilarego Jastaka". Celem jej jest udzielanie pomocy stypendialnej młodzieży z Gdyni i Kościerzyny. Fundacja nie prowadzi działalności gospodarczej, opiera się na dobrowolnych wpłatach. Członkowie założyciele wnieśli 60 milionów, komisje „Solidarności" z gdyńskich zakładów pracy w prezencie jubileuszowym przekazały 11 milionów 250 tys. zł. Ciągle napływają datki, bowiem ludzie wiedzą, że ksiądz prałat umie zarządzać pieniędzmi, a co najważniejsze — mają do niego pełne zaufanie.

Wiesława Kwiatkowska

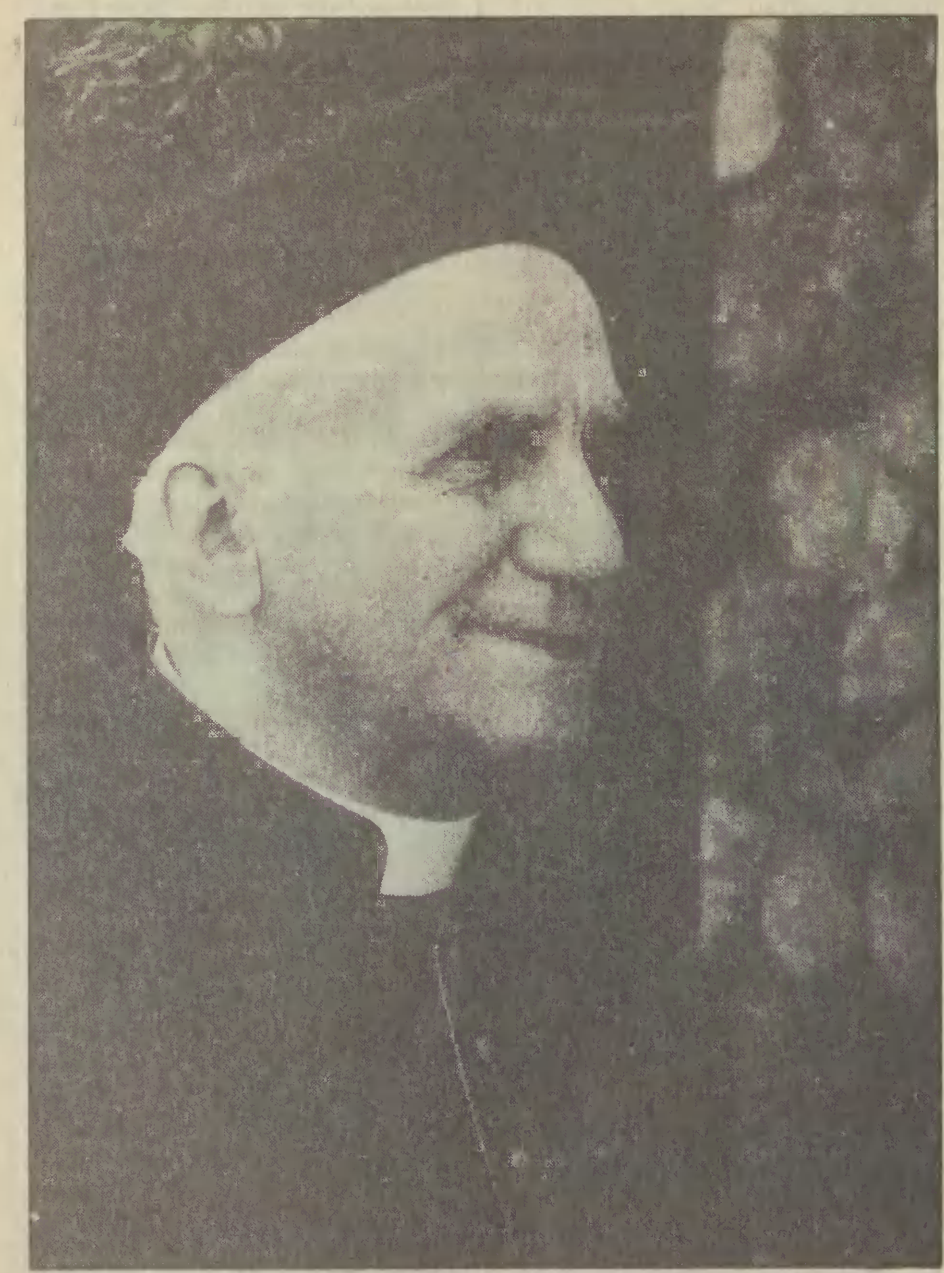

Fot. Maciej Kostun

Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej

Warszawa, dnia 16 czerwca 1991 roku

Ksiądz Prałat
dr Hilary Jastak
Parafia Najświętszego Serca Pana Jezusa
Gdynia, ul. Batorego 15

Czcigodny Księże Prałacie!

50 lat w kapłaństwie, 50 lat posługiwania Bogu, a przede wszystkim ludziom to wspaniały, złoty jubileusz.

Posługę Bożą wynagrodzić może jedynie Bóg. Natomiast za posługiwanie ludziom czuję się w obowiązku podziękować osobiście. Za wszystko, coś dla wiary, nadziei i miłości Przewielebny Prałacie uczynił. Począwszy od pamiętnego "Caritasu", przez niełatwe lata budowy świątyni, poprzez pamiętne daty kolejnych kryzysów politycznych, aż do ostatnich lat tworzenia, budowania i trwania "Solidarności".

Obecność Księdza Prałata w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni w czasie sierpniowych strajków w 1980 roku, podtrzymywanie na duchu, pokrzepianie naszych serc pozwoliło nam wygrać Sierpień.

Późniejsza ojcowska opieka nad gronem naszych wspaniałych ludzi, ochrona przed komunistycznym prawem stanu wojennego pozwoliła przetrwać to, co najgorsze. Osobiście mam w tej mierze wiele do zawdzięczenia. Wielkorotnie korzystałem z gościnności Twego Księże Prałacie domu, gdzie zawsze znajdowałem otuchę i siły do dalszej walki.

Dziś, jako Prezydent Rzeczpospolitej za wszystko, coś nam Czcigodny Królu Kaszub uczynił, za budowanie kościoła bożego w ludzkich sercach i za ofiarną miłość Ojczyzny pragnę powiedzieć - Bóg zapłać!

Składam najserdeczniejsze życzenia wielu lat zdrowia, obfitości Łask Bożych, pogody ducha i powtarzam: "My trzymamy z Bogiem".

Lech Wałęsa

Panna „S" w trampingu

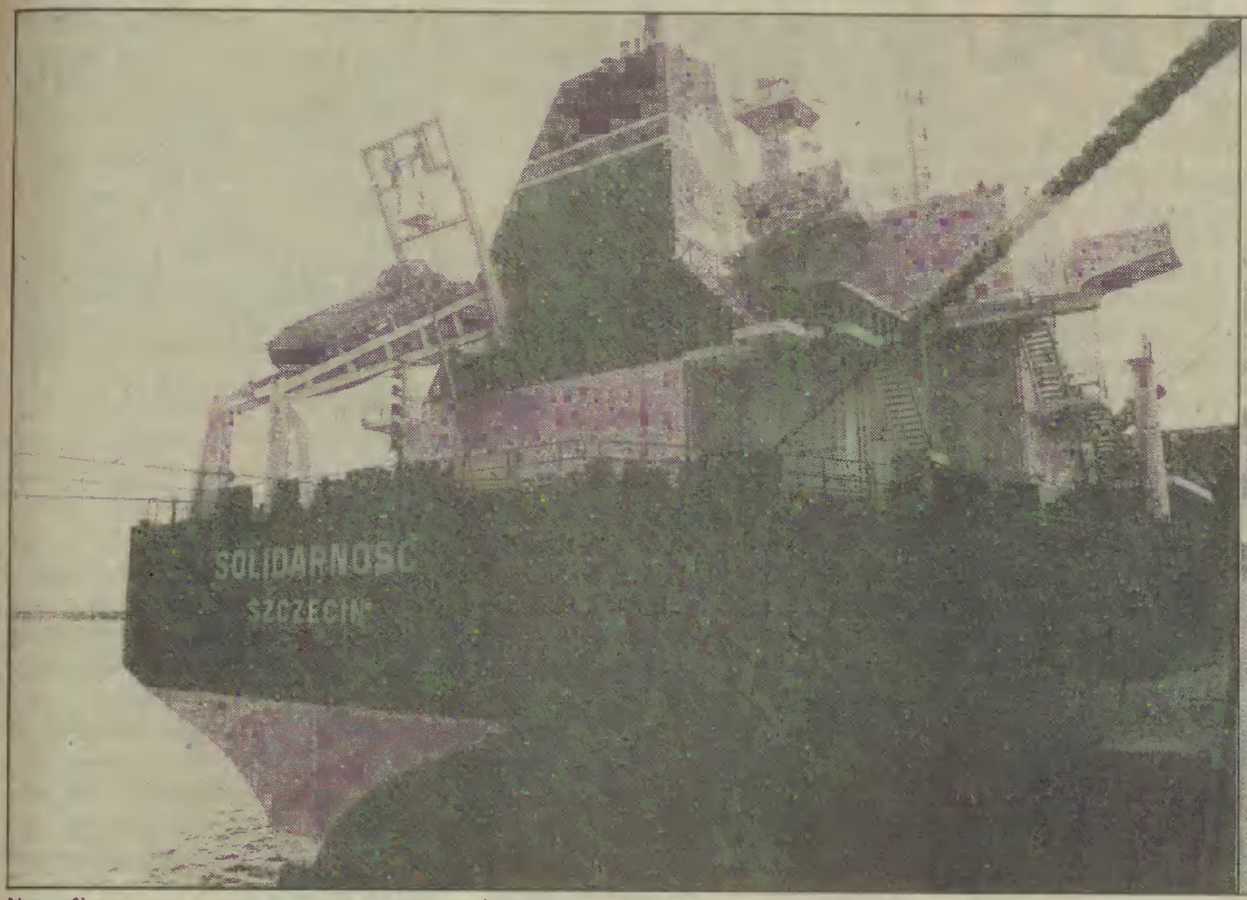

Na rufie zwraca uwagę nowoczesna szalupa zrzutowa

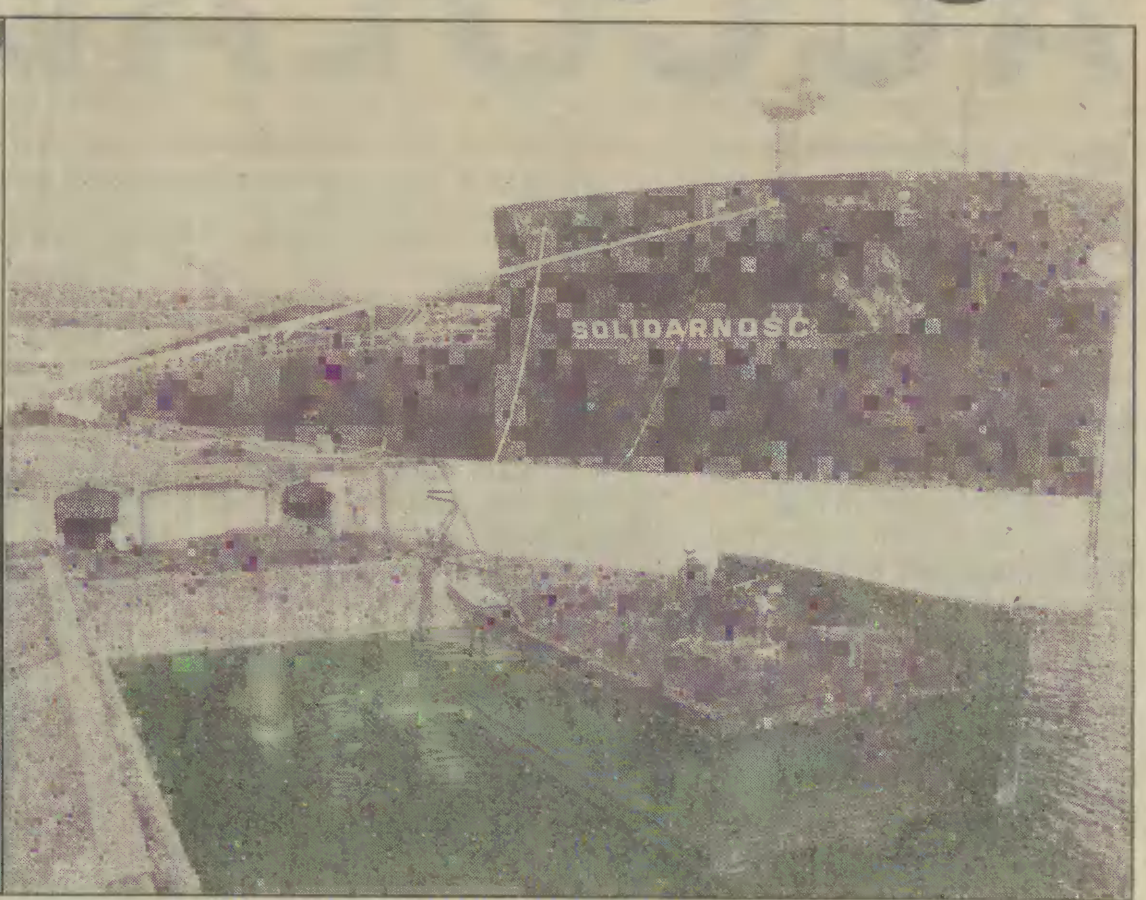

Niecodzienny kształt dziobu

Pierwszą załogę stanowiła obsada wzorcowa, lub jak kto woli propagandowa. Z dwudziestu sześciu osób załogi tylko trzech nie należało do NSZZ „S". Kapitan i cała góra też są członkami „S". Ale nowy skład załogi nie był już kompletowany pod tym kątem.

Służbowym polonezem Regionu Gdańskiego „Solidarności" podjeżdżamy pod trap cumującego przy pirsie węglowym Portu Północnego masowca „Solidarność". Kapitana Jana Prüffera, który wyszedł nam na spotkanie, porywa do poloneza matka chrzestna statku — Alina Pieńkowska. Są umówieni na spotkanie z przewodniczącym „S" Marianem Krzaklewskim. Ja zostaję przekazany wraz z całą masą solidarnościowych „gadgetów" (tego na statku brakowało) pierwszemu oficerowi Sławomirowi Kulejowi. Rozczarowany dowiaduję się, że armator — Polska Żegluga Morska — korzystając z okazji niemal całkowicie wymienił załogę. „Pierwszy" czyli chief jest na statku zupełnie świeży. Wie niewiele. Na szczęście „na burcie" jest jeszcze chief ze starej załogi — Wojciech Jackowski.

Zminiaturyzowana aparatura satelitarnego systemu nawigacyjnego GPS

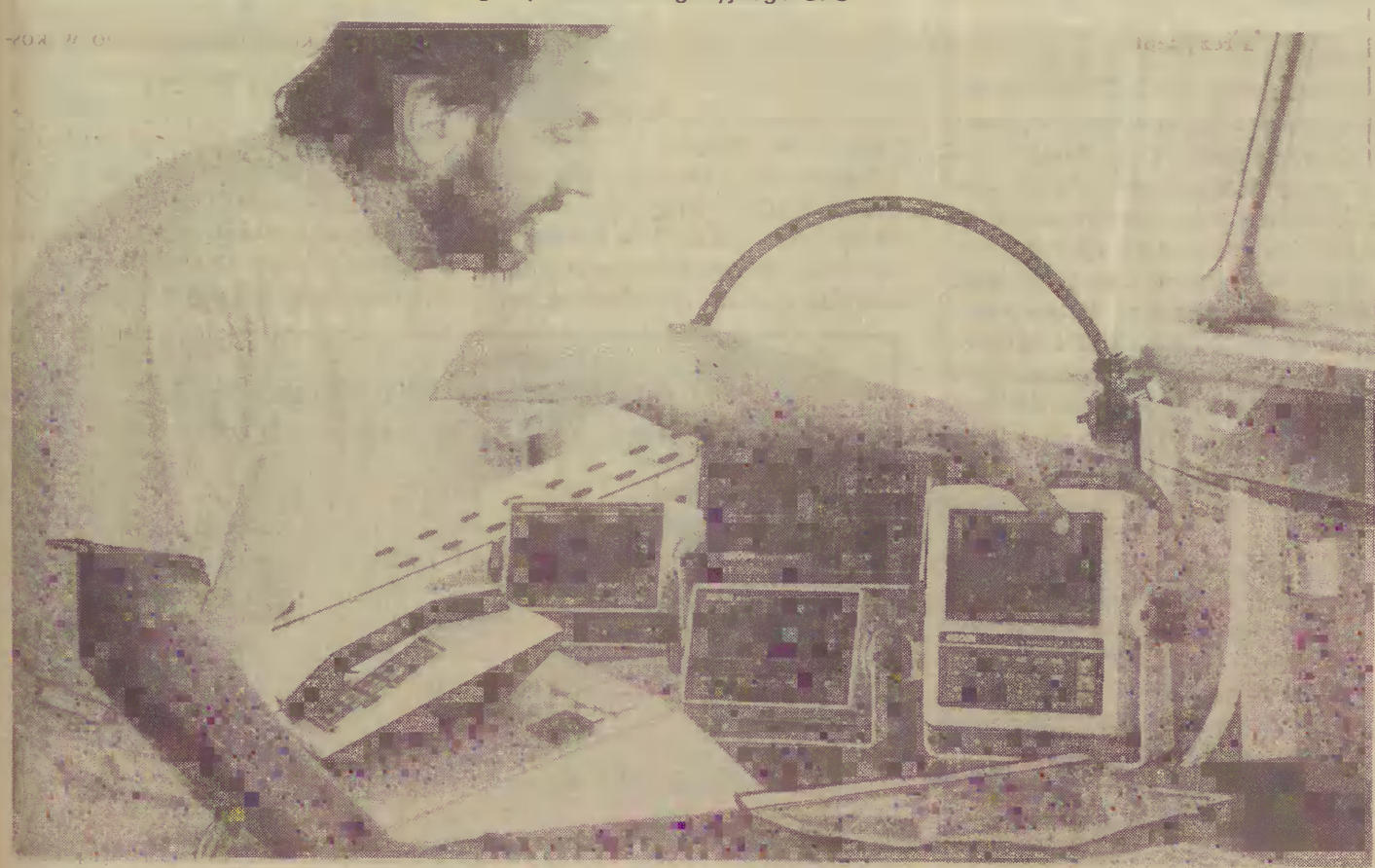

Zbieram krótkie informacje techniczne o statku i idę robić zdjęcia. Zadziwia nietypowy kształt dziobu. Statek jest bardzo nowoczesny, nafaszerowany elektroniką. Tak twierdzi chief Jackowski. Jest tu na przykład najnowszej generacji urządzenie GPS — Global Positioning System, które ciągłą informację o pozycji statku otrzymuje z satelity, z dokładnością do 15 metrów. Takim urządzeniem posługiwali się Amerykanie w Zatoce Perskiej.

Silnik — serce statku — jest bardzo ekonomiczny. Zużywa paliwa ciężkiego tyle co silniki statków o 32 tys. ton nośności („Solidarność" ma ponad 70 tys. ton). Prędkość niebagatelna, bo 16 węzłów przy pełnym ładunku. To również zaleta owego dziwnego kształtu dziobu. Są też i mankamenty. Najbardziej uciążliwym jest tzw. dzielność morska, bardzo słaba. To wina kształtu kadłuba i braku stabilizatorów.

Usterek dużo, lecz statek jest jeszcze „na gwarancji", a serwis w każdym porcie znakomity.

Chief zna statek „od podszewki", był przy budowie w duńskiej stoczni, a od marca, czyli od podniesienia bandery pływa na „Solidarności" w trampingu, tam gdzie znajdzie się towar do przewiezienia. Można mówić o przypadku. Ta trzydniowa wizyta w Gdańsku, też wcześniej nie była planowana. Statek dotychczas obsługiwał rejony Ameryki. Ostatnie rejsy, to Stany Zjednoczone, Lizbona, Gandawa. W Gandawie, do której zawieźli kukurydzę, dowiedzieli się o ładunku węgla do przewiezienia z Gdańska do Rotterdamu.

Co dalej? Nie wiadomo.

W jednym z portów, chyba w Belgii — wspomina „Pierwszy" — przyszli na „Solidarność" Rosjanie ze stojącego nie opodal statku. Zapewniali, że wiedzą co to znaczy „Solidarność". Najbardziej jednak podkreślali, że u nich już można wierzyć.

W innym porcie pilot pytał, gdzie się podział ten facet, który był zawsze obok Wałęsy. Ale nazwiska nie pamiętał. Wymieniliśmy wszystkie od Gwiazdy do Michnika, ale nadal nie wiemy o kogo mu chodziło.

Z informacją na statku jest bardzo źle. Właściwie tylko niezawodna Wolna Europa, słyszalna nawet w Stanach Zjednoczonych. Bo codzienna „Gazetka Marynarzy i Rybaków" z lakonicznym jednozdaniowym przekazem, nie spełnia właściwej roli. Dla mnie — stwierdza chief — ROAD czy Centrum to puste nazwy.

Wszędzie pył węglowy. Moje ubranie, włosy, twarz, ręce zszarzały.

Trzynastego lipca około dwudziestej drugiej „Solidarność" wypłynęła w morze. Stopy wody pod kilem!

Tekst i zdjęcia:
Maciej Kostun

Zbudowana w duńskiej stoczni Burmeister & Wain Skibsvaerft A/S w Kopenhadze ms „Solidarność" jest masowcem uniwersalnym o nośności 73 850 ton, długości 228.60 m, szerokości 32,24 m, zanurzeniu maksymalnym 14,12 m. Moc silnika obracającego czteropiórową śrubę nastawną — 10 tys. KM. Armatorem jest PŻM Szczecin.

Przed wyborami

„Solidarność" jako dziewica

W Komisji Krajowej „S" przed wyborami jest coraz goręcej. Nie po raz pierwszy związkowcy mieli różne zdania, nieporozumienia przeniosły się jednak na warstwę prywatną. Na ostatnim posiedzeniu niektórzy dostawali dreszczy na samo określenie partia polityczna, inni podkreślali, że poglądy polityczne to jedno, a działalność związkowa to drugie i że nie zamierzają tracić swoich partyjnych pozycji. Dzień poprzedzający obrady poświęciło prezydium na przygotowanie tez będących projektem uchwały dotyczącej wyborów. A prawie cały następny dzień próbowała KK dojść do ładu z tą jedną uchwałą.

Nie udało się ustalić maksymalnej liczby kandydatów. **„Krajówka" postanowiła, że uchwała Krajowego Zjazdu Delegatów zostanie zrealizowana przez wystawienie, zgodnie z decyzjami Zarządów Regionów, niepełnych list kandydatów tak, by ich minimalna liczba nie była mniejsza niż sześćdziesiąt dziewięć.** Ustalono też sposób wyłaniania kandydatów. Do Zarządów Regionów zgłaszać ich mogą Komisje Zakładowe i członkowie ZR. Listę, czyli: ilość, nazwiska i ich kolejność ustala Zarząd Regionu. Jeżeli okręg wyborczy obejmuje dwa regiony, to funkcję ZR obejmują połączone Zarządy Regionów, a decyzje podejmowane są na zasadzie uzgodnień. Nie dotyczy to jednak kandydatów na senatorów...

Komisja Krajowa ustala ogólnopolską listę „Solidarności", w szczególnych wypadkach ma też prawo sprzeciwu w stosunku do kandydatów zgłoszonych przez ZR na listy okręgowe. Komisja Krajowa, na wniosek ZR, może też dać zgodę na: udzielenie poparcia wybranej liście bądź listom, w okręgach gdzie „Solidarność" nie będzie kształtowała własnej reprezentacji; KK może również przyzwolić na zgłoszenie w Okręgowej Komisji Wyborczej zamiaru zblokowania list „Solidarności" z innymi wybranymi sojusznikami.

Komisja Krajowa podjęła uchwałę dotyczącą weryfikacji swoich członków; **niezależnie od tego, czy będą kandydować w nadchodzących wyborach, czy nie, złożą na piśmie (do 31 sierpnia) deklarację zapewniającą, że nigdy nie współpracowali ze służbami specjalnymi i wyrażającą zgodę na ujawnienie ich teczek personalnych.**

Ustalona przez Krajowy Zjazd ograniczona reprezentacja parlamentarna oraz brak sojuszów nie wszystkim działaczom się podobały. Padały głosy, że „Solidarność" jest nadal najsilniejsza; że przy słabości partii politycznych i sile komunistów należy dla dobra kraju zagarnąć tyle miejsc, ile się uda. Proponowano też sojusze z siłami mającymi na celu ochronę państwa. **Bogdan Borusewicz, który wypowiedział się przeciw sojuszom stwierdził, że widzi możliwy tylko jeden — z rolnikami indywidualnymi**, sojusz ten pozwoliłby m.in. zatrzeć różnice między miastem a wsią. (Na sali widać było jak duże są różnice między stanowiskiem dużych ośrodków, a małymi miasteczkami. Przedstawiciele tych ostatnich mówili, że nie może być obojętne, kto będzie w tym parlamencie, gdy na ich terenie poważne partie polityczne reprezentują ludzie niepoważni).

Niezdrowe ambicje polityczne niektórych dyskutantów, hamowali ci, którzy przypominali o aspekcie finansowym, o kosztach kampanii i możliwościach finansowych związku. Tę dyskusję można by podsumować porównaniem, które kilkakrotnie pojawiało się w czasie obrad. — „Solidarność" jako dziewica, która chciałaby, ale boi się; chciałaby wybory wygrać, ale...

O tym jednak, że wielu członków „krajówki" pragnie kandydować może świadczyć fakt, że pojawiły się problemy z wybraniem pięcioosobowego składu komitetu wyborczego. Prowadzący obrady Janusz Pałubicki, proponował nawet by odwołać warunek, że członek komitetu nie może kandydować. Na szczęście tych pięciu (pod kierownictwem Mariana Krzaklewskiego) w końcu się znalazło.

Obradom KK towarzyszył potworny upał. Ale mimo to działacze „S" pochłonęli trzydzieści dwa chleby, ponad dziewięć kilo ogórków oraz pomidorów, osiem kilo wędlin i tyleż sera. Wypili też dwadzieścia cztery skrzynki zimnych napojów, z których dwie — tradycyjnie już — powróciły bez butelek (zapobiegliwsi zabierają do pociągu).

Ewa Gronkiewicz

Bonn i Paryż — wrogowie przyjaciółmi

ACCOLADA

Pierwszym kanclerzem Niemiec w Paryżu był książę Otto von Bismarck, znany i Polakom. „Żelazny Kanclerz" 1 marca 1871 roku w uniformie i przy szabli na trybunie wyścigów konnych Longchamps w Lasku Bulońskim przyjmował był paradę pruskich i bawarskich pułków. Podbiegł doń Francuz w bluzie, robotnik: — *T'es une canaille fameuse!* („To ty jesteś tą słynną kanalią"). „Mogłem kazać go uwięzić, ale spodobała mi się jego odwaga..." — napisał o incydencie sam kanclerz, bądź co bądź mający klasę. Arystokratyczną i męża stanu.

Działo się to po przegranej z kretesem przez Francuzów wojnie z Prusami i Bawarią, klęsce pod Sedanem i wzięciu do niewoli cesarza Napoleona III, proklamowaniu w podbitym Wersalu narodzin Rzeszy z 22 księstw i trzech wolnych miast. W zwycięskich Niemczech przez ponad pół wieku 2 września, Dzień Sedanu, obchodzono jako radosne święto narodowe. W każdym patriotycznym domu niemieckim naturalistyczne litografie upamiętniały ataki francuskich kirasjerów, załamujące się w ogniu niemieckich karabinów, cesarza Francuzów, kompletnie załamanego, oddającego szpadę królowi Prus na wzgórzu Frésnois, albo Moltkego, opartego o mapy sztabowe i dyktującego warunki zawieszenia broni wylęknionym „żabojadom". Zwalisty Bismarck z karzełkowatym, skarykaturyzowanym Napoleonem III siedzieli milcząc na historycznej ławce przed domem tkacza w Domcherié, a z pocztówki z Berlina, od cioci Emmy, wyzierała iluminowana Brama Brandenburska z cytatem z wypowiedzi Wilhelma na wieść o zwycięstwie: „Welch eine Wendung durch Gottes Führung" — cóż za zmiana z Boskiego zrządzenia. Niemcy, póki im dobrze szło, lubili powoływać się na Boski protektorat.

To, co cementowało kilka niemieckich pokoleń i napawało dumą — klęska pod Sedanem — stanowiło dla tyluż generacji Francuzów powód głębokiej frustracji. Nigdy też nie wyrzekli się utraconych w 1871 roku prowincji, Alzacji i części Lotaryngii; choć niemieckojęzycznych, lecz historycznie, od pokoju westfalskiego, związanych z Francją. „Vive la revanche!" — wołali Francuzi w euforii w lipcu 1914 roku po ogłoszeniu mobilizacji: niech żyje rewanż! W I wojnie światowej Niemcy straciły około dwóch milionów żołnierzy, Francuzi nieco mniej — 1 450 tysięcy. Alzacja i Lotaryngia były znów francuskie.

Drugim kanclerzem niemieckim w Paryżu był Hitler. Przyjąwszy poprzedniego dnia kapitulację armii francuskiej w Compiegné, w historycznej salonce marszałka Focha, w której podpisano kapitulację Niemiec w 1918 roku — przybył 23 czerwca 1940 roku samolotem do Le Bourget, a następnie kazał się oprowadzić po podbitej, przerażonej i opustoszałej metropolii. Zaliczył Łuk Triumfalny, wieżę Eiffla, Trocadero, Pałac Inwalidów i Sacre-Coeur.

Działo się to po rozpoczętej 10 maja 1940 roku błyskawicznej ofensywie Wehrmachtu i złamaniu nikłej francuskiej obrony, opartej o Linię Maginota. Część Francji pozostała nie okupowana, pod rządami kolaboranckiego rządu Vichy i zdziecinniałego marszałka Petaina. Ten skrawek Francji okupowali Niemcy dopiero w końcu 1942 roku. Nadszarpnięty honor Francji i jej wielkość ratował i częściowo ochotnicy tworzonej w Brytanii armii „Wolnej Francji" gen. de Gaulle'a, a w kraju partyzanci FTPF („wolni strzelcy i partyzanci francuscy"), od 1943 roku FFI („francuskie siły wewnętrzne").

Wilhelm I na polu bitwy pod Sedanem 2 września 1870 r.

W latach 1939—1945 Francja straciła 250 tys. poległych żołnierzy i 350 tys. cywilów. Straty niemieckie to 3 mln 250 tys. żołnierzy i tyluż cywilów. Inne źródła szacują poległych żołnierzy na 3 mln 850 tysięcy.

Płynąć pod prąd we własnym kraju...

Trzecim niemieckim kanclerzem w Paryżu był przybyły na konferencję w sprawie tzw. Planu Roberta Schumana — ówczesnego francuskiego ministra spraw zagranicznych — 75- letni Konrad Adenauer. Na lotnisku w Orly czekał nań pan Jean Monnet, przewodniczący konferencji. Nie było protokołu dyplomatycznego i należnej celebry. W relacjach z pobytu Adenauer odnotował z satysfakcją, że paryżanie go nie obrażają, traktując obojętnie — więc normalnie. W stolicy zjawił się w tym czasie Francois Poncet, Wysoki Komisarz we francuskiej strefie okupacyjnej Niemiec, by rozciągnąć nad kanclerzem dyskretny nadzór. W ostatnim dniu pobytu pewna studentka przysłała Adenauerowi podobno wzruszający, namawiający do pojednania list z załączonym odznaczeniem „*Crois de Guerre*" jej zmarłego ojca; to przesłanie i krzyż zachował kanclerz aż do śmierci.

Wycieczka do Paryża, Niemcy jadą na front w sierpniu 1914 r.

Wróćmy nieco do przeszłości. Francuska strefa okupacyjna, uzyskana dzięki de Gaulle'owi, jak lew walczącemu o wielkość Francji, liczyła 240 tys. km kw. i 5 milionów 900 tysięcy mieszkańców. Była zatem zdecydowanie najmniejszą ze stref. Tymczasem personel administracyjny, przybyły z Francji, był liczniejszy niż w znacznie większej strefie brytyjskiej. Francuzi, dzięki liberalnym przepisom, sprowadzali do zajętych Niemiec swoje rodziny, z teściami i wnukami włącznie, a ci dochodzili często swych okupacyjnych krzywd i zadośćuczynienia od Niemców na własną rękę... Kwitł szmugiel i łapownictwo, a dodatkowo sierdziły Niemców takie zjawiska, jak przepych zarekwirowanych kwater, luksusowe auta okupantów, ich polowania, spec-pociągi i statki na Renie. Wśród urzędników trafiali się byli kolaboranci, skompromitowani w ojczyźnie, którzy nadrabiali pozycję nadgorliwością.

Tak jak Niemcy godzili się wewnętrznie z okupacją w wykonaniu Rosjan, Amerykanów i Brytyjczyków, uważając ich za silniejszych w polu i bezspornie zwycięskich — tak na odmianę okupacja francuska budziła wewnętrzne opory. Francuzi w 1939 roku w ogóle nie zamierzali się bić, a także nie bili się szczególnie w 1940 roku.

Wszyscy okupanci zgodni byli w kwestii reedukacji — oczyszczenia Niemców spod wpływu hitleryzmu. Urodzony w 1925 roku we Frankfurcie profesor „Institut d'etudes politiques" w Paryżu, Alfred Grosser, znawca problemu, w historii Niemiec od 1945 roku ocenia wkład francuski w reedukację najwyżej. Zwłaszcza gdy idzie o niemiecką młodzież. Otwarto więc w strefie francuskiej akademie pedagogiczne, uruchomiono uniwersytet w Moguncji. Zasadniczy sens jednak tkwił w przełamaniu dogmatu nakazującego pełną izolację strefy od wpływów zewnętrznych. Początkowo niemiecki działacz nowych związków zawodowych albo polityk nie mógł opuścić strefy, by spotkać się z swymi odpowiednikami w strefach brytyjskiej czy amerykańskiej. Mało tego — mieszkańcy Moguncji czy Freiburga, miast w strefie francuskiej, nie mogli kupować — co już absurdalne — francuskich gazet, gdy tymczasem w dwóch pozostałych strefach zachodnich w każdym kiosku wykładano „Daily Mail" albo „New York Times". Mądrzejsi urzędnicy francuscy zrozumieli w końcu, że nie można czynić młodym Niemcom zarzutu z ich nacjonalizmu, skoro odcina im się kontakt z resztą świata.

Inny dogmat, też stopniowo obalany, nakazywał przedstawiać absolutnie wszystko w Niemczech w złym świetle i idealizować przy tym wszystko, co we Francji. Uznano, że lepiej będzie jeśli zgorzkniałe młode „pokolenie klęski" samo oceni sytuację w innych krajach w rozmowach z rówieśnikami, nie wchodzącymi w skład okupacyjnych sił. Wreszcie postanowiono indywidualnie traktować każdego byłego przywódcę Hitlerjugend — w założeniu, że swoją pozycję zyskiwali oni także dzięki wykazywanym talentom, a nie tylko wskutek okazywania fanatyzmu dla Führera i Rzeszy. Przy wydziale kulturalnym francuskiego zarządu wojskowego powstał do tych zadań Referat Młodzieży i Sportu, przekształcony później w Referat Spraw i Stosunków Międzynarodowych, a w dzieło włączyło się wielu całkiem prywatnych Francuzów z inicjatywą.

Nawet Francuzi z Resistance — Ruchu Oporu — uważali, że francusko-niemieckiej przyszłości nie da się zbudować na lęku, połączonym z wzajemnym odpychaniem. Odrzucono też w stosunku do Niemców pojęcie winy zbiorowej narodu. Z socjo- i psychologicznych analiz wyłaniał się obraz większości Niemców jako istot wewnętrznie słabych, chwiejnych, głęboko wstrząśniętych totalnym załamaniem dotychczasowych porządków i instytucji. Ci ludzie — twierdzili analitycy — byli poddani aktualnie wpływom dwóch grup znacznie mniej licznych. Jedną stanowili fanatyczni, niepoprawni nacjonaliści, czujący nienawiść do zwycięzców, druga zaś składała się z Niemców rzeczywiście zainteresowanych zbudowaniem w Niemczech nowego, demokratycznego ładu — przy pomocy zwycięzców i we współpracy właśnie z nimi. „Francja będzie miała w przyszłości do czynienia z *L'Allemagne de nos merites...*" — pisał cytowany Alfred Grosser; z takimi Niemcami, na jakich sobie zasłużyła.

Postawiono wtedy na wspieranie młodzieży, ludzi wierzących niezależnie od wyznania — katolików i protestantów — wreszcie na działaczy związków zawodowych i antynacjonalistycznych intelektualistów niemieckich. W 1945 roku z takim wsparciem udało się przybyć do francuskiej strefy okupacyjnej Niemiec zaledwie kilku tuzinom młodych, entuzjastycznych Francuzów; w rok później przyjechało ich około tysiąca, w 1949 roku Francuzów było już pięć tysięcy. W tymże 1949 roku po raz pierwszy mogli wjechać młodzi Niemcy do Francji.

> „Dzięki Bogu przyjaźń między narodem niemieckim i francuskim jest ugruntowana tak głęboko, że nie jest tylko sprawą naszych rządów. W tych dniach opublikowano wyniki ankiet, w których między innymi pytano w krajach europejskich: kto jest naszym najlepszym przyjacielem? Widzi pan, we wszystkich tych ankietach wynika, że z punktu widzenia Francuzów ich najlepszymi przyjaciółmi są Niemcy — a z punktu widzenia Niemców Francuzi. Przyjęliśmy dobry kierunek rozwoju..."
>
> *(Helmut Kohl w wywiadzie dla „Saarländischer Rundfunk" z 28 lipca 1986 roku).*

Kontakty obustronne, wymiana indywidualna i grupowa, zgodnie z francuskimi założeniami odbiegały od nieco podobnych imprez rozwijanych przed 1933 rokiem — dojściem Hitlera do władzy. Francuzi świadomie wyeliminowali wszelkie akcenty uczuciowe — pozytywne i negatywne. Celem nie było raczej powierzchowne (m.in. wskutek bariery językowej) zawieranie przyjaźni francusko-niemieckich przez jednostki lecz wspólne wyciągnięcie nauki z tragicznej przeszłości po to, by się nie powtórzyła. Toczono wielogodzinne dyskusje i spory na temat winy zbiorowej Niemców, ponieważ milcząco przyzwalali na zbrodnie w ich imieniu, na temat polityki francuskiej po I wojnie światowej (krytykowanej zresztą z obu stron), na temat okupacji Niemiec w 1918 roku i tej aktualnej, na temat przyszłości Zagłębia Saary (bardzo nęcącego Francuzów) — wreszcie na temat francuskiego i niemieckiego nacjonalizmu. To, czego dowiedzieli się na spotkaniach młodzi — w naturalny sposób przesiąkało do rodziców i rodzeństwa.

Panowało przekonanie o bezsensow-

Kalendarium wojen francusko-niemieckich

1648

W pokoju westfalskim po Wojnie Trzydziestoletniej Francja zyskuje 10 tzw. miast Rzeszy w Alzacji, a w 1681 roku Sztrasburg.

1806/7

Klęska Prus w bitwach pod Jeną i Auerstadt, w pokoju tylżyckim pokonane przez Napoleona Prusy tracą połowę terytorium.

1813

Marszałek pruski Blücher zwycięża Francuzów na Śląsku i w Sudetach.

1814

Armia Blüchera przekracza Ren i w marcu, wraz z antynapoleońską koalicją, zajmuje Paryż.

1815

Blücher, zwany „marszałkiem naprzód!", bierze udział w dobijaniu armii Napoleona I pod Waterloo.

1870

Wojna prusko-francuska i klęska Francji pod Sedanem. Niemcy w rok później otrzymują Alzację i część Lotaryngii.

1914

Ofensywa niemiecka bezpośrednio zagraża Paryżowi.

1918

Klęska Niemiec, Alzacja i Lotaryngia wracają do Francji.

1940

Armia francuska kapituluje, zaczyna się okupacja Francji.

1945

Armia niemiecka kapituluje, zaczyna się — również francuska — okupacja Niemiec. Alzacja i Lotaryngia, wyzwolone spod okupacji niemieckiej, znów są francuskie. Chyba na zawsze?

Opracował: G.K.

Konferencja w Poczdamie, lipiec — sierpień 1945 r.

ności czynienia sobie nawzajem wyrzutów i potrzebie trudnego płynięcia pod prąd we własnym kraju, wbrew opiniom potocznym. Ale z prądem płyną tylko śnięte ryby... Młodzi Francuzi po powrocie z przejęciem opowiadali, co dla ich niemieckich rówieśników oznaczało piekło alianckich bombardowań — młodzi Niemcy mówili o zbrodniach podczas okupacji Francji, o masakrze Oradour. Zmieniał się pozytywnie *image* onegdajszego śmiertelnego wroga, a zaskoczeniem było podobieństwo problemów młodych w obu krajach. Poznaniu jeszcze głębszemu służyła literatura piękna, sztuka, teatr.

Dialog Paryża z Bonn a „sprawa polska"

Adenauer był Nadreńczykiem, mówiącym po francusku i nawet frankofilem. Ongiś, po I wojnie światowej, zarzucano mu nawet separatyzm i chęć utworzenia nadreńskiego państewka w sojuszu ze zwycięską Francją — ale zarzucano bez podstaw. W latach pięćdziesiątych, w pełnym rozkwicie adenauerowskich rządów, stopniowo wygasały konflikty francusko-niemieckie i poprawiała się wzajemna atmosfera. Współpraca obejmowała dyplomację na forum europejskim, partnerstwo miast, oczywiście organizacje młodzieżowe i sportowe, organizacje i związki zawodowe, stowarzyszenia twórcze, partie polityczne i stowarzyszenia religijne. Francja i RFN ściślej współpracowały z sobą, niż z jakimkolwiek państwem trzecim.

W zatargu o Saarę, okupowaną przez Francję, a następnie włączoną we francuski obszar celno-walutowy z myślą o autonomii tego kraju w ramach Republiki Francuskiej — co dla zmyłki Francuzi zwali europeizacją — obie strony dzięki dialogowi wykazały umiar i zrozumienie cudzych argumentów. Trwało to siedem lat! W końcu, w wyniku okazanego umiarkowania, w Saarze zwolennicy powrotu do Niemiec wygrali plebiscyt i Saara stała się dziesiątym landem RFN. Wkrótce nieustający francusko-niemiecki dialog przeszedł od problemów bilateralnych do ogólnoeuropejskich: stosunku do NATO, do ZSRR i krajów radzieckiej strefy wpływów. Ogromnie rozszerzała się wzajemna wymiana towarowa i współpraca gospodarcza.

W 1962 roku de Gaulle odwiedził Niemcy. Była to triumfalna podróż. Nabrała życia idea zinstytucjonalizowania współpracy. Od czasów wizyty kanclerza Adenauera w 1958 roku w posiadłości de Gaulle'a w Colombey-les-Deux-Eglises i długich rozmów w cztery oczy dwóch starszych panów — nawiązała się przyjaźń, trwająca aż do śmierci kanclerza. Wreszcie w 1963 roku w Paryżu — 22 stycznia — doszło do kulminacji i wspólny traktat został podpisany.

Traktat uruchamiał aparat wzajemnych konsultacji. Odtąd głowy obu państw i szefowie rządów mieli spotykać się co najmniej dwa razy w roku, ministrowie spraw zagranicznych co trzy miesiące, wysocy urzędnicy obu ministerstw co miesiąc. W trzymiesięcznych terminach przewidziano kontakty bezpośrednie ministrów obrony i kultury, zaś co dwa miesiące spotykają się szefowie obu sztabów generalnych i ministrowie ds. młodzieży lub rodziny.

Od czasów słynnej accolady — uścisku de Gaulle'a z Adenauerem, pieczętującego przyjaźń, ten mechanizm funkcjonuje różnie. Czasem konsultacje — jak wiadomo z przecieków — zamieniają się w pouczanie, albo jedna ze stron nie zawiadamia drugiej o pewnych poczynaniach za granicą. Ale każda ze stron wynosi z partnerstwa korzyści. Granica między RFN a Francją praktycznie już się zatarła. Niemcy inwestują w Alzacji i Lotaryngii, gdzie można dogadać się po niemiecku, osiedlają się tam sezonowo — ale Francuzom nie mąci to spokoju. Wspólny „Jugendwerk" dba o wymianę uczniów, na co oba rządy nie szczędzą środków. W ramach eksperymentu utworzono z obu armii wspólną niemiecko-francuską brygadę. Zawrotny wręcz jest postęp od wrogości do przyjaźni w tak krótkim czasie.

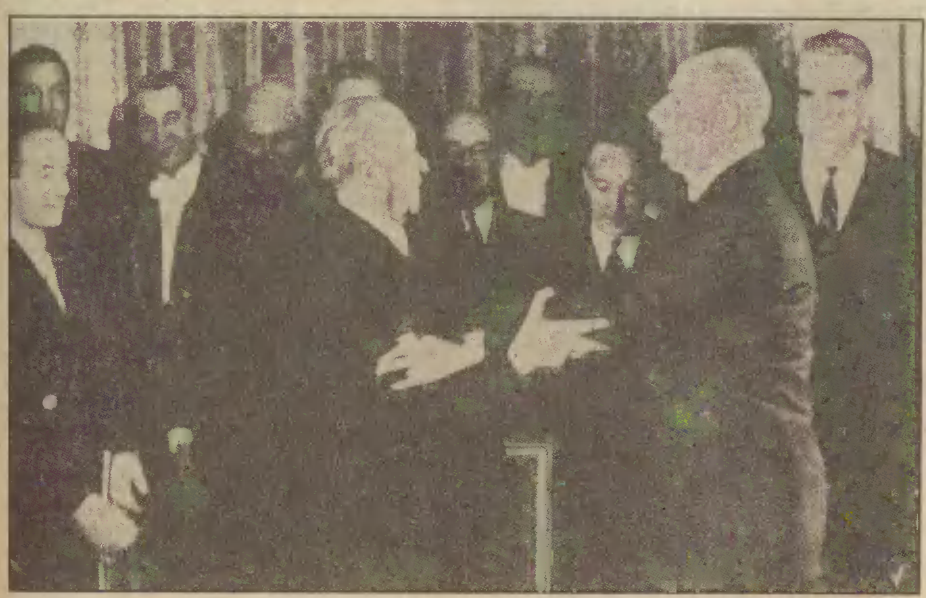

Accolada — historyczny uścisk. Adenauer i de Gaulle 22 stycznia 1963 r.

Gdybyśmy kiedyś korzystając z tych wzorów pragnęli postąpić naprzód w trudnym zbliżeniu z zachodnim sąsiadem Polski — to należałoby uwzględnić co najmniej dwie ogólne prawdy:

● Nie ma ani wiecznych nienawiści, ani też wiecznych sojuszów lecz jedynie wieczny jest interes własnego narodu; co mu lepiej służy — nienawiść czy przyjaźń?

● Przyjaźń prawdziwa może łączyć tylko państwa prawdziwie suwerenne z prawdziwie suwerennymi, ten postulat i nam i Niemcom załatwił pozytywnie niezapomniany rok 1989.

Grzegorz Kurkiewicz

W ZSRR, po 45 latach...

Chłodny cień wojny

Przypominam sobie taki obrazek z dzieciństwa: zbieraliśmy się w kilku — chłopcy z okolicznych posesji — po czym zaczynaliśmy zabawę. Nie w jakichś tam banalnych Indian lub partyzantów, skądże. My zakładaliśmy obóz koncentracyjny. Z patyczków budowane były płoty, kopaliśmy doły pod zbiorowe mogiły, w puszce po konserwach mieściło się krematorium. Potem w ogrodzie łapaliśmy wszystko co żywe i... dalej zamilczę los nieszczęsnych biedronek i pasikoników.

Epizod ten wraca we wspomnieniach nie bez powodu — teraz, po 45 latach okazuje się, że wojna kończy się naprawdę dopiero na naszych oczach. Jej cień roztapia się powoli jak ustępujący lodowiec. Tym zakończeniem jest normalność w sferze politycznej, społecznej i ekonomicznej, a także w codziennym pojmowaniu rzeczywistości — gdy już zanikają strachy i fobie pielęgnowane przez całe lata. Myślę tu przede wszystkim o całym kompleksie spraw polsko-niemieckich. Ten moment przejścia widać szczególnie wyraźnie, gdy za obserwatorium przyjmie się Związek Radziecki. Tam nadal panuje chłodny cień wojny.

Jeszcze się nie skończyła

W Dzień Zwycięstwa łatwo spotkać na ulicy kombatanta, obwieszonego różnokolorowymi blaszkami i wstążeczkami. Nic dziwnego: w społeczeństwie ludzi radzieckich jest on nie tyle człowiekiem, co instytucją — ciągłym przypomnieniem chwały zwycięstwa, które otworzyło przed ZSRR cały świat, zwycięstwa odniesionego wysiłkiem zjednoczonego narodu, armii i partii. W związku z tym, kombatant, jako żywa legitymacja władzy, zażywa specjalnych przywilejów. Zawsze znajdzie się dla niego miejsce w prezydium, radzie, komitecie czy jakimkolwiek innym ciele, nie mówiąc o korzyściach socjalnych i finansowych. Wykształcony został cały system utrwalania i przekazywania szacunku dla tych ludzi. Kto chciałby zobaczyć jego ostatnie przebłyski, powinien był obejrzeć transmisję z moskiewskiej akademii w dniu 9 maja. „Ech, to już nie to co dawniej" — wzdycha średnie pokolenie, które przeszło trening w pełnym nasileniu. Dlatego nadal ludzie spotykają się w ten dzień i pijąc wódkę, oburzają się na postawę Litwy, która odmówiła uczestnictwa w tej uroczystości. „Nic dziwnego, Landsberg i inni to dzieci tych, co sami witali Niemców z kwiatami. Znaczy się, faszyści". A być nazwanym faszystą to wciąż najgorsza obelga. Jak dotąd oprócz przywódcy Litwy zarobił też na nią Gamsahurdia — prezydent Gruzji.

Większość „ludzi radzieckich" całkiem poważnie uważa, że faszyzm wciąż panuje w Niemczech, także w tych zjednoczonych. Stąd pełne troski pytania do Polaków: jak teraz dajecie sobie z nimi radę? Niedowierzanie, że dobrze. Groźby: zobaczycie, niepodległa Litwa szybko dogada się z Niemcami.

Nadchodzące „nowe" podmywa jednak tę budowlę nieubłaganie: furażerki, czapki i pasy oraz odznaki Armii Czerwonej przestały być przedmiotem kultu a stały się obiektem handlu. Nawet szkolne izby pamięci nie są już ostoją dla zgromadzonych militariów. Służba wojskowa to nie zaszczyt, lecz smutny obowiązek, który trzeba odpękać lub najlepiej ominąć z daleka. Ale to tylko sprawy młodych. W cieniu wojny pozostaje również

kult ofiar.

Każdy chce mieć swoje własne ofiary. W Ponarach koło Wilna, gdzie rozstrzelano 100 tys. ludzi najpierw wystawiono pomnik w postaci masywnego bloku z napisami po rosyjsku i litewsku ku czci „ludzi radzieckich". Potem naprzeciwko pojawił się drugi, mniejszy, poświęcony 70 tysiącom Żydów z wileńskiego getta w językach rosyjskim i hebrajskim. Oprócz niego, jest inny, znacznie godniejszy monument, już tylko po hebrajsku. Na górce wznosi się natomiast obelisk z czerwoną gwiazdką, upamiętniający jeńców sowieckich. Wreszcie w 1990 r. dołączyła do tego tablica z napisem polskim i krzyż. Tylko doły, w których palono zwłoki, pozostają wspólne.

Fot. Jarosław Rybicki

Każda mała miejscowość ma co najmniej tablicę poświęconą Wojnie Ojczyźnianej. Powstają również nowe miejsca pamięci, teraz już inne w charakterze — bardziej spontaniczne, bo poświęcone sprawom długo przemilczanym, jak kamień ku czci żołnierzy AK w Krawczunach. Powstają, bo wojna trwa nadal, ciąży jak nieuregulowany rachunek na wszystkich dziedzinach życia. Tyle rzeczy boli i domaga się uleczenia, a często pozostaje już tylko historyczny artykuł czy pamiątkowy kamień. W samej Rosji wojna boli, gdy na nowo liczony jest bezmiar ofiar i zadawane jest pytanie: czy miały one sens?! Słyszę: „Tu w Ponarach Niemcy nie wystrzelili nawet jednej kuli, całą robotę zrobili za nich litewscy szaulisi (formacja paramilitarna) zwłaszcza przy Żydach".

Granice

One też należą do rachunku. W tej części świata nadal kreśli się je grubą kreską, która nakłada się na inne, cieńsze: przerywane, kropkowane, krzyżykowane linie. Taka jest mapa współczesnej Litwy, o takiej mówią coraz głośniej na Białorusi, szepczą we Lwowie, na taką mapę wielu w Polsce bijepięścią w stół. Gruba czerwona kreska wykracza zwykle poza stan istniejący, jak granica marzeń. O nich się dyskutuje, trzeba je omawiać, potwierdzać, są niesprawiedliwe i nienaruszalne zarazem. Może dlatego przejścia w nich przypominają nadal ucha igielne...

Granice ustaliła wojna — znów punkt dla niej. Następny przychodzi dołożyć, gdy okazuje się, że jest ona obecna w bardzo codziennym krajobrazie, a raczej w sposobie jego pojmowania. W tym wielkim zespole krajów na każdym kroku spotyka się kontrasty godne Trzeciego Świata. Oko spoczywa z przyjemnością na czystej, gładkiej bryle budynku publicznego, obok wre następna budowa — nowoczesne, prefabrykowane szalunki. Za płotem, już krzywym i zszarzałym, stoi całe miasto, miasteczko przycupniętych domków. Łatane dachy, jakieś dechy na krzyż, tam brak pół drzwi, klepiska uliczek, kałuże jak morza z wyspami ze śmieci. Przed ogródeczkiem ktoś pilnie myje nowego Moskwicza. Prężą się anteny na najbardziej dziurawym dachu, wieczorem okna rozświetla pulsujący, niebieskawy blask. Dlaczego? Skąd te rozstępy w krajobrazie? Rzadko pada odpowiedź „komuna", większość zapytanych milczy lub uśmiecha się niewyraźnie — no, oczywiście ONA.

Młodzi wolą milczeć

lub odchodzą, gdy obok wybucha dyskusja o ofiarach, historii i granicach. No, może z wyjątkiem granic — woleliby, aby zniknęły jak najszybciej. Wtedy można by bez przeszkód przyjechać do Polski a nawet jeszcze dalej, na pracę lub pohandlować. Synonimem człowieka nadchodzących czasów stało się słowo „kooperator", odpowiadające z grubsza naszemu prywaciarzowi, ale „uspółkowionemu", za to wymawiane z tą samą nutką zazdrości, zawiści i podziwu. Trwa namiętna dyskusja: czy wolno się bogacić ponad miarę (kto i co ją określa?!). Tak to istnieje i zmaga się wojna z pokojem. Jacy byliby ludzie, gdyby nie kładł się na nich ten cień sprzed 45 lat? Na pewno nikt z nas nie może dać odpowiedzi, wszak dopiero co sami weszliśmy w „epokę powojenną". Może wiedzą coś na ten temat te narody, które zawsze oskarżaliśmy o krótką pamięć?

Jerzy Świątkiewicz

TRAJEKTORIA SZAJBY

dokończenie ze str. 1

książek wydanych w niezależnym obiegu, odpowiedziała, że tyle jest ciekawych książek oficjalnie wydanych, że nie musi czytać tamtych. W tym czasie jej lęk przed zaangażowaniem, nawet tak nieznacznym, szczególnie się nasilił.

— Ale czy rzeczywiście to, że człowiek nie chce się angażować w sprawy polityczne można uznać za objaw choroby?

— W tym przypadku tak. Ona czuła bardzo silny lęk, a przecież nikt nas nie karał za czytanie tych książek. Kolporterów, drukarzy — karano. Czytelnikom najwyżej te książki zabierano.

— A czy ludzie ukrywający się także potrzebowali twojej pomocy?

— Tak. To się zdarzało. Jeździłem na przykład do Warszawy, aby wspomagać mojego przyjaciela, pracującego w podziemnym wydawnictwie, który w pewnym momencie popadł w depresję. Brało w tym udział wielu ludzi: jedni mnie wieźli, inni podawali hasło...

Czasami sytuacja była trudna, gdyż uwięzieni działacze „Solidarności", będący na obserwacji sądowo-psychiatrycznej mogli zostać uratowani przed więzieniem tylko w przypadku wydania opinii o ich niepoczytalności. I o to prosili ich obrońcy, gdy tymczasem sami oskarżeni prosili, by nie uznawać ich za niepoczytalnych.

Najgorsze było jednak to, że w prowadzonych przez nas grupach psychoterapeutycznych znajdowali się także funkcjonariusze. Wiedzieliśmy o tym i bardzo trudno było nam pracować.

— Kto silniej reaguje dziś na atmosferę polityczną, kobiety czy mężczyźni?

— Ostatnio kobiety bardzo się angażują emocjonalnie w ocenę wydarzeń. Mam kilka pacjentek, u których wystąpiły objawy zespołu depresyjnego po klęsce wyborczej Mazowieckiego. Z tego powodu, że nie doceniono jego zasług i tak fatalnie przegrał już w pierwszej turze.

— Czy wśród pacjentów masz wielu artystów?

— Mam sporo pacjentów ze środowisk twórczych. To chyba dlatego, że sam kiedyś usiłowałem zostać artystą. Studiowałem w szkole muzycznej.

— Dlaczego artyści potrzebują twojej pomocy?

— Istnieją w nich ogromne napięcia, szczególnie w okresach niemocy twórczej. W chwilach, kiedy zawodzi natchnienie. Jeden z moich przyjaciół, często zadaje mi pytanie: — Powiedz mi Kazik, czemu ja piję? A odpowiedź nie jest rzeczą prostą, zwłaszcza jeśli dotyczy człowieka tak skomplikowanego; o tak bogatej osobowości. Nadużywanie alkoholu zawsze w konsekwencji prowadzi do zaburzeń psychicznych, jest objawem nieradzenia sobie w życiu, formą ucieczki, fałszywego olśnienia. Daje poczucie, że dotarło się do rzeczywistości i łatwiej się z nią skontaktować, jakby alkohol był tajemnym kluczykiem do jakiegoś skarbca. Daje też złudzenie mocy twórczej. Wtedy, pod wpływem alkoholu, coś co się pisze, wydaje się genialne, ale najczęściej nie wytrzymuje to oceny po wytrzeźwieniu. Szczególnie jest to często wśród muzyków i poetów.

— Malarzy omija?

— Zauważyłem rzecz dziwną: alkohol jakby mniej szkodził malarzom. Często im bardziej piją, tym bardziej cenione są ich prace. Nie tracą inwencji.

— Alkohol w mniejszym stopniu niszczy ich wyobraźnię?

— Zdarzają się przypadki, że ją nawet rozwija. Mógłbym wymienić kilka takich przykładów. Natomiast jeśli chodzi o muzyków, wygląda to inaczej. Jeden z najlepszych pianistów na Wybrzeżu, mój przyjaciel, zaczął nadużywać alkoholu; dalej był znakomitym technikiem, nie stracił biegłości technicznej, ale jakby stracił duszę. Jego muzyka stała się pusta, znikło wnętrze, dusza tej muzyki.

— Czy patrząc na obrazy malarza, potrafisz rozpoznać, że są to dzieła alkoholika?

— To trudne pytanie. Odpowiem ci na nie przykładem z mojej praktyki: jeden z malarzy realistów, w chwili, kiedy nastąpiły zaburzenia pod wpływem alkoholu, całkowicie zmienił styl, zaczął malować abstrakcje. Im bardziej jego stan psychiczny był rozchwiany, tym bardziej jego obrazy były odległe od rzeczywistości, niespokojne, wzbudzające niepokój.

— A może zawsze nadwrażliwością płaci się za możliwość bycia artystą? Może to właśnie jest cena?

— Trafiają do mnie przeważnie artyści nie zrealizowani. Pacjenci, którym udało się spełnić ambicje artystyczne, przestawali być moimi klientami, wychodzili z choroby. Zostali w większości ci, którzy mają poczucie niezrozumienia i niedocenienia.

— Ale przecież wielu ludzi nie potrafi wyrazić swoich emocji.

— Chodzi ci zapewne o schizofreników. Uważam, że nieporozumieniem jest — jak to się pisało w starych podręcznikach — że są oni ludźmi ze stępioną wrażliwością. Ich problem polega właśnie na tym, że nie potrafią wyrazić swoich emocji i współgrać z otoczeniem.

— Czy to jest także kłopot artystów nie zrealizowanych?

— Niektórzy z nich mają zniszczone związki dyskursywnego myślenia i nie potrafią ocenić obiektywnie rzeczywistości, również własnego obrazu. Stąd wyrasta poczucie niezrozumienia. Wielu jednak schizofreników potrafiło bardzo dobrze sprzedać swoje dzieła. Na przykład Andriej Biełyj — większość swoich utworów pisał w stanie psychozy, a został uznany za jednego z największych pisarzy rosyjskich.

— Przez minione lata polityka kulturalna uczyniła szkodę wielu ludziom, stwarzając im złudzenie, że są naprawdę artystami. I teraz, kiedy nadeszła godzina sprawdzenia ich talentu przez odbiorców, powoduje to dodatkowe frustracje i depresje. Czy zauważasz to wśród pacjentów?

— To też. Ale jeszcze jedną rzecz zauważam, a właściwie zauważałem, w minionych latach: dyspozycyjność. Dotyczyło to również twórców. Powodowało ciągłe uruchamianie w sobie cenzora i nieustanne zadawanie pytania: czy to ma szansę na druk, czy to nie wzbudzi podejrzeń? Wyniszczało to myśl, spontaniczność reagowania i tworzenia czegoś nowego.

Zresztą po tych czterdziestu latach tresowania my, Polacy jako naród zatraciliśmy zdolność spontanicznego reagowania. Zanim coś powiemy, zastanawiamy się czy można to powiedzieć, czym nam to grozi i czy warto się wychylać.

— Czy w swojej praktyce lekarskiej zetknąłeś się z artystami — samobójcami?

— Naturalnie. To są rzeczy bardzo smutne i tragiczne. Miałem kilka takich przypadków. Jedna z moich wieloletnich pacjentek... Co parę miesięcy był taki telefon: — Kazik, przyjeżdżaj, znowu popełniłam samobójstwo. I takich telefonów było kilka czy kilkanaście. Ale tego ostatniego już nie było — kolejna demonstracja skończyła się rzeczywistym samobójstwem.

— A czy zetknąłeś się z pacjentami, którzy usiłowali popełnić samobójstwo z powodów politycznych?

— Nie. Opozycja była solidarna. Podtrzymywaliśmy się na duchu i nie traciliśmy nadziei.

— Ale była również druga strona...

— Bardzo dużo wyższych oficerów z milicji i SB było moimi pacjentami. Oni samounicestwiali się na raty — głównie przez alkoholizm, depresje, napady stanów lękowych. Ale samobójstwo ostateczne — nie...

— Czy potrafisz twoim pacjentom dać wiarę w sens istnienia isilę na przetrzymanie momentów krytycznych?

— To moi pacjenci powinni na to pytanie odpowiedzieć. Są dni lepsze i gorsze. Mam nadzieję, że jednak — tak. W końcu jestem człowiekiem wierzącym i czerpię siły z tej wiary.

Rozmawiała:
Krystyna Chwin

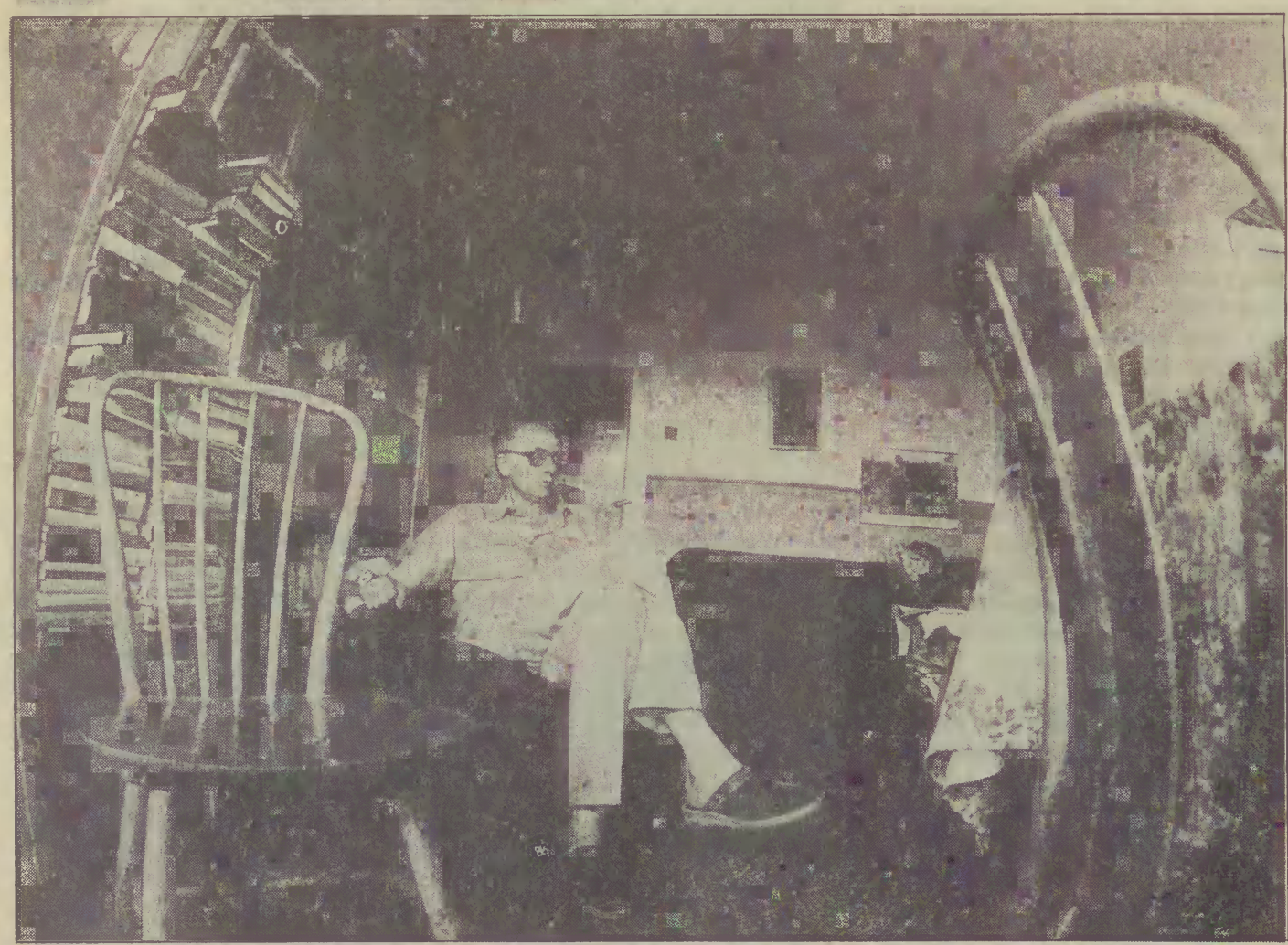

Fot. Maciej Kostun

Listy

Zamęt i ubytek wiary

Analiza stanu fizycznego (liczby członków) i psychosocjologicznego (nastroje, problemy, opinie), którą jako zarząd przeprowadziliśmy na terenie naszego działania (obszar byłego powiatu sztumskiego), nie wypadła dobrze.

Często słyszeliśmy, że ludzie występują z „Solidarności", bo jest gorsza od komuny i OPZZ, gdyż doprowadziła do tego, że jest gorzej aniżeli było. „Solidarność" zlikwidowała komunę, ale ona rządzi nadal, gdyż ci którzy byli jej oddani, nadal są dyrektorami, prezesami, kierownikami, czynnymi także w działalności pseudospołecznej... Nie przeprowadziło się właściwie weryfikacji MO i MSW i nie weryfikuje się ZBOWiD-u, a tym wszystkim facetom żyje się dzisiaj jeszcze lepiej niż za rządów PZPR. Takie głosy rozlegały się często. I nasi radykalni rozmówcy częściowo mieli rację.

LIczba członków związku była zaskoczeniem zapewne nie tylko dla zarządu podregionu, lecz także, a może przede wszystkim, dla zarządu regionu, dla którego materiał ten był przygotowywany. Wiele komisji zakładowych, które nadal dumnie figurowały w wykazach, de facto już nie istniało — nie działały, nie odprowadzały składek. Członkowie „Solidarności", należący uprzednio do organizacji, które rozpadły się w wyniku przekształceń przedsiębiorstw czy spółdzielni, chcieliby należeć do tego związku, lecz nie mają jak, bo stracili swoje zarządy — nie ma kto nimi pokierować. Są to jednak przeważnie małe, kilkuosobowe grupki. Dyrekcji, którym zależałoby na istnieniu związku zawodowego w zakładzie jest bardzo mało. Są to po prostu jednostki.

I tu — jak mi się wydaje - nabiera sensu pogląd, który wyrażam od wielu lat, a mianowicie, że siła „Solidarności" to nie komisje zakładowe, w których są przecież pracownicy danego zakładu, mający rodziny na utrzymaniu, i bojący się utracić pracę. Człowiek potrzebujący jest w gruncie rzeczy skory do ustępstw i korupcji, łakomy na profity. Taki ktoś nie będzie radykalny, czy „rewindykacyjny". Dowodem — podział zysku za 1990 rok; członkowie „Solidarności", będący jednocześnie członkami rad pracowniczych, dokonali go wbrew wszelkim regułom i zasadom, ponieważ sami chcieli czerpać jak najszybsze korzyści. Dlatego siłą „Solidarności" powinny się stać struktury pozazakładowe, które miałyby uprawnienia dokonywania zapisów i występowania w imieniu swoich członków w sposób nieskrępowany.

Do spełnienia tej idei potrzebna jest jeszcze atrakcyjność związku. Kandydat na przewodniczącego „Solidarności", pan Słowik, w ramach kampanii wyborczej, przedstawił swój pogląd na funkcjonowanie „S", który w części pokrywał się z moim. Powiedział, że jeśli zostanie wybrany, będzie dążył do tego, aby członek związku miał na przykład ulgi w usługach, w których fachowiec (także członek tego związku), naprawi taniej sprzęt gospodarstwa domowego. Pracownicy struktur związku, ponieważ nie mogliby to już być działacze społeczni, nie będąc powiązani z producentami-pracodawcami śmiało wkraczaliby na teren zakładu, w którym działaby się pracobiorcom krzywda. Zasadniczym przywilejem członka związku zawodowego byłoby też pierwszeństwo przyjęcia do pracy i zwalnianie w ostatniej kolejności.

Jest to, moim zdaniem, sposób na uratowanie „S" przed jej całkowitym rozpadem, a nawet na jej liczebne wzmocnienie. (Jak wynika z naszej analizy, w badanym podregionie ubyło około 40 procent ludzi. I wiem, że w innych podregionach „S" sytuacja jest jeszcze gorsza).

Inna sprawa. Mało kto w „Solidarności" potrafi dzisiaj odróżnić dobro od zła, prawdę od kłamstwa, nadzieję od beznadziei. Panuje dezorientacja — czy lepszy był komunizm z liberalnym odcieniem, czy zarysowujący się młody kapitalizm. Jak na razie wygrywa ta pierwsza opcja. Członkowie „Solidarności" rzucają się niczym w zastawionej sieci, krzycząc, że zostali przez elity oszukani; że po raz któryś z rzędu zawiedli się na tych, co zadbali wyłącznie o własne stołki. Tymczasem do wyborów nowego parlamentu pozostało już niewiele czasu.

Edward Studzieński
Sztum

Komu krzyże?

„Dyrekcja Generalna PKP uprzejmie informuje, że w 1991 roku, wzorem roku ubiegłego, odstępuje od praktyki limitowania ilości wniosków o nadanie orderów i odznaczeń państwowych oraz odznak resortowych.

1. W myśl wytycznych Kancelarii Prezydenta należy dążyć nadal do podniesienia rangi odznaczeń przez nadanie ich, wyraźnie **mniejszej niż dotychczas liczbie osób**. Honorować należy osoby szczególnie wyróżniające się postawami w pracy zawodowej, przynoszącymi konkretne efekty i znaczne korzyści Państwu, zakładowi pracy czy poszczególnym obywatelom.

Wnioski powinny dotyczyć jedynie pracowników cieszących się w swoich środowiskach najwyższym uznaniem i szacunkiem.

Z analizy ubiegłorocznych wniosków o nadanie odznaczeń wynika, że większość uzasadnień zawierała wyłącznie opis kariery zawodowej kandydata do odznaczenia i te wnioski były zwracane definitywnie lub z możliwością uzupełnienia uzasadnienia o **konkretne efekty i zasługi**. Wydłużyło to bardzo czas przekazywania wniosków do Urzędu Prezydenta. Opóźnienie to, mogło być uwzględnione przez MTiGM i Urząd Prezydenta tylko w 1990 roku, ponieważ był to pierwszy rok wprowadzenia tak istotnych zmian w polityce odznaczeniowej Państwa, natomiast w roku bieżącym nie będzie ono tolerowane.

Dyrekcja Generalna PKP jednocześnie przypomina, że w roku bieżącym obowiązują poniższe zasady wypełniania wniosków odznaczeniowych, tj:

— należy **bezwzględnie przestrzegać obowiązku** wpisywania **numeru PESEL** jak również obowiązujących symboli posiadanych odznaczeń z datą ich nadania i numerem legitymacji,

— wniosek podpisuje wyłącznie kierownik zakładu pracy oraz przedstawiciel rady pracowniczej samorządu załogi. Związki zawodowe uczestniczą w procesie wyłaniania kandydatów do odznaczeń i ich opinia powinna być uwzględniana,

— wnioski z jednostek, w których nie ma rady pracowniczej przesyłane będą za pismem przewodnim (wymieniającym kandydatów) podpisanym przez kierownika jednostki i związki zawodowe,

— nie podpisuje wniosków kierownik jednostki nadrzędnej,

— we wnioskach osób odchodzących na emeryturę, należy to bezwzględnie umieszczać w uzasadnieniu wniosku,

— nie można w uzasadnieniach wniosków zamieszczać stwierdzeń typu „kandydat w pełni zasługuje na odznaczenie", gdyż należy to do Kancelarii Prezydenta,

— przestrzegać należy zasady odstępstw czasu między odznaczeniami tj. między krzyżami zasługi 5 lat, a między krzyżem zasługi a orderem 7 lat,

— druki wniosków odznaczeniowych obowiązują takie jak w 1990 r.

2. Wnioski za odznaki resortowe powinny być składane wyłącznie za szczególnie wyróżniającą postawę w pracy zawodowej. Nie należy zgłaszać wniosków z okazji jubileuszów zakładów, zjazdów, zakończenia różnego rodzaju kadencji. Nie przewiduje się w br. rozpatrywania wniosków o nadanie odznaki zbiorowościom.

Przedstawiając powyższe Dyrekcja Generalna uprzejmie prosi o nadsyłanie wniosków w nieprzekraczalnym terminie do **15 czerwca 1991 roku, w liczbie nie większej niż w 1990 roku**.

Limit tytułów honorowych „Zasłużony Kolejarz RP" na 1991 rok wynosi 5.

Dyrektor
Andrzej Jagodziński

Uwaga przedsiębiorcy!

Tygodnik „Nowoczesność" redagowany przez Stefana Bratkowskiego, pismo ludzi przedsiębiorczych i aktywnych, przygotowuje raport o rozwoju gospodarki rynkowej w Polsce. Ma być on zapisem dokonań ostatnich dwóch lat, ma przedstawić stan obecny, bariery nadal utrudniające czy uniemożliwiające rozwój przedsiębiorczości. Zależy nam także na zasygnalizowaniu niezbędnych już dziś zmian w obowiązujących przepisach prawa. Dlatego zwracamy się z prośbą do wszystkich prowadzących jakąkolwiek działalność gospodarczą o nadsyłanie pod adres redakcji wypowiedzi o tym co Was boli i co cieszy, jakie przepisy zlikwidować, a jakie wprowadzić. Napiszcie o Waszych firmach i o Was samych.

Raport, który powstanie dzięki Waszej pomocy, przedstawimy rządowi i inwestorom zagranicznym — wraz z listą firm, z którymi warto współpracować.

Wypowiedzi będziemy też drukować w kolejnych numerach „Nowoczesności". Jeśli ktoś nie chce ujawniać swego nazwiska, gwarantujemy pełną dyskrecję.

Chcemy przedstawiać i likwidować bariery jakie nadal uniemożliwiają i utrudniają Wam działania. Chętnie napiszemy też o Waszych sukcesach.

- Masz sklep i gnębi Cię ADM — napisz!
- Sprzedajesz z samochodu lub stolika — napisz tym bardziej, nikt inny Ci nie pomoże!
- Jesteś rzemieślnikiem i nie produkujesz — napisz dlaczego!
- Jesteś rolnikiem — napisz co trzeba zmienić, abyś mógł żyć godnie!
- Masz zamiar założyć własną firmę — napisz co ci przeszkadza

Czekamy na Wasze listy:
Tygodnik „Nowoczesność",
ul. Wiejska 7 m.15,
00-480 Warszawa z dopiskiem
„Raport".

PS. Dodatkowe informacje w kolejnych numerach „Nowoczesności" lub telefonicznie (022) 29-11-21.

PROŚBA
„Do wszystkich ludzi dobrej woli"

My rodzice Jadwigi Gałązki, która nie chodzi o własnych siłach już od 10-ciu lat, ponieważ choruje na zanik mięśni i nigdzie nie ma dla niej ratunku chociaż była już we wszystkich sanatoriach i szpitalach w Polsce — zwracamy się do społeczeństwa o pomoc celem ratowania naszej córki.

Jedną jedyną szansą na uratowanie naszego dziecka jest skierowanie jej na leczenie we Francji, ale nas na pokrycie kosztów tego leczenia nie jest stać.

Zwracamy się z serdeczną prośbą o udzielenie naszej córce pomocy, aby mogła wrócić do zdrowia i tak jak inne dzieci cieszyć się pełnią życia. Jadzia jest dobrą i mądrą uczennicą i w przyszłości może stać się bardzo wartościowym człowiekiem.

Liczymy na pomoc Państwa dla ratowania naszej córki i z góry za tę pomoc dziękujemy w imieniu własnym i naszej córki Jadzi.

Podajemy hasło na jakie prosimy przesyłać pieniądze:
„POMOC DLA JADZI"
PKO BP IV O/Wrocław
93549-79110-174-1

Rodzice

Naprawianie krzywd

23 maja weszła w życie ustawa z dnia 23 lutego 1991 o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu państwowego, opublikowana w Dzienniku Ustaw nr 34, poz.149.

Ustawę tę nazwano ustawą, która naprawia krzywdy. Uchwalenie jej zmierzało do unicestwienia, w rozmiarach i formach, jakich to jest możliwe, skutków represji karnej, wymierzonej od 1 stycznia 1944 do 31 grudnia 1956 roku w ludzi walczących czynem lub słowem o niepodległość Polski. Zgodnie z przepisami ustawy, osoby, których ten akt dotyczy mogą złożyć do sądu wojewódzkiego, w którego okręgu wydane zostało orzeczenie I instancji, wniosek o unieważnienie krzywdzącego orzeczenia sądowego lub wydanego przez inny organ ówczesnego wymiaru sprawiedliwości. Jeżeli orzeczenie wydał Sąd Wojskowy, to wniosek również należy złożyć do sądu wojewódzkiego, chyba że obecnie sprawa należy do właściwości Sądu Wojskowego (np. czyn został popełniony przez żołnierza w czynnej służbie wojskowej względnie został uznany za zdradę ojczyzny lub zamach stanu).

Jeżeli osoba represjonowana nie może złożyć wniosku z powodu śmierci, nieobecności w kraju lub choroby psychicznej, może to za nią uczynić małżonek, dzieci, rodzice lub rodzeństwo. Wniosek może sporządzić i przekazać do sądu również adwokat. Ponadto wniosek może z urzędu złożyć rzecznik praw obywatelskich, minister sprawiedliwości oraz prokurator.

Sąd orzeka na posiedzeniu. Zgodnie z art. 1 ust. 1 cytowanej ustawy uznaje się za nieważne orzeczenia wydane przez polskie organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości lub przez organa pozasądowe w okresie od rozpoczęcia ich działalności na ziemiach polskich, począwszy od 1 stycznia 1944 do 31 grudnia 1956 roku, jeśli czyn zarzucany lub przypisany był związany z działalnością na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego albo orzeczenie wydano z powodu takiej działalności, jak również orzeczenia wydane za opór przeciwko kolektywizacji wsi i obowiązkowym dostawom.

Unieważnienie orzeczenia objętego wnioskiem jest równoznaczne z uniewinnieniem. Osobie represjonowanej przysługuje od Skarbu Państwa odszkodowanie za poniesioną szkodę i zadośćuczynienie za doznaną krzywdę. Wniosek o odszkodowanie i zadośćuczynienie należy złożyć w terminie roku od daty uprawomocnienia się postanowienia o stwierdzeniu nieważności krzywdzącego orzeczenia — do tego sądu wojewódzkiego lub sądu okręgu wojskowego, który wydał postanowienie o unieważnieniu orzeczenia. W razie śmierci tej osoby uprawnienie do złożenia wniosku o odszkodowanie i zadośćuczynienie przechodzi na małżonka, dzieci lub rodziców.

Do Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku — Wydział IV Karny, który rozpoznaje te sprawy wpłynęły już 82 wnioski o unieważnienie orzeczenia w odniesieniu do 104 osób. Z tego rozstrzygnięto już 20 wniosków w odniesieniu do 31 osób.

Jedną z pierwszych spraw, które rozstrzygnął w trybie ustawy Sąd Wojewódzki w Gdańsku była sprawa „Inki" 17—letniej sanitariuszki z oddziałów majora Łupaszki, skazanej wyrokiem byłego Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku z dnia 3.08.1946 roku na karę śmierci. Prezydent Krajowej Rady Narodowej, Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski — wyrok wykonano przez rozstrzelanie w więzieniu gdańskim. Postanowieniem Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku z dnia 10.06.1991 r. wyrok byłego Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku uznano za nieważny.

Wiceprezes
Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku
mgr J. Grabiec

Trochę cieplej na północy

BEZPIECZNA FLANKA

Jeszcze w połowie lat 80., gdy Układ Warszawski wydawał się silny, państwa nordyckie dość zgodnie głosiły potrzebę równego bezpieczeństwa dla wszystkich. Państwa te nie sądziły jednak, że Europa już w najbliższej przyszłości przestanie żyć w cieniu wielkich mocarstw. Z tego względu opierały one swe bezpieczeństwo na tzw. równowadze nordyckiej.

Równowaga nordycka oznacza dążenie państw tego regionu do równomiernego zaangażowania wielkich mocarstw w regionie nordyckim. Osiągnięcie tej równowagi nie jest łatwe, ponieważ Dania, Norwegia i Islandia należą do NATO, Finlandia jest krajem neutralnym, związanym ze Związkiem Radzieckim stale odnawianą umową o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy, a posiadająca silny system obronny Szwecja, choć neutralna, stanowi ważny czynnik wojskowy w regionie.

Newralgiczne znaczenie dla bezpieczeństwa regionu nordyckiego miało Morze Północne. Wielkie mocarstwa utrzymywały tu swe floty wyposażone w najnowsze systemy broni, ponieważ rejon ten leży na przecięciu linii prostej prowadzącej z Moskwy przez Arktykę do Waszyngtonu. Mimo że radzieckie oddziały i broń na Półwyspie Kola nie były przewidziane do użycia w pierwszej kolejności przeciw Norwegii czy Szwecji, to sam fakt ich tak bliskiej dyslokacji musiał wpłynąć na wysiłek obronny tych krajów.

Norwegia — najważniejsza

Największe znaczenie dla bezpieczeństwa regionu nordyckiego miały działania Norwegii i wobec Norwegii. Chociaż nie była ona krajem, który by zachęcał swymi bogactwami do napaści, to jej położenie geograficzne sprawiało, że atak na nią ze strony ZSRR musiałby wywołać ostre środki militarne także ze strony NATO jako całości. Dlatego radzieckie łodzie podwodne wyposażone w rakiety międzykontynentalne SS-25, które stale znajdowały się na Morzu Północnym, podlegały ścisłej obserwacji ze strony Norwegii.

Skuteczny atak ZSRR na Norwegię oznaczać mógłby, przy braku odpowiedzi NATO, zajęcie przez ZSRR pozycji zagrażających śmiertelnie Europie Zachodniej wskutek wzmocnienia kontroli nad liniami ataku powietrznego ze strony USA i nad liniami ataku i dostaw drogą morską. Co więcej: już samo zmniejszenie obecności amerykańskiej na Morzu Północnym oznaczałoby — zdaniem Norwegii — wzrost ryzyka wybuchu wojny atomowej.

To samo dotyczyło przypadku zajęcia Szwecji, chociaż na reakcję NATO wpływałby niewątpliwie fakt, że Szwecja nie była członkiem tego paktu. Jedynie zajęcie Finlandii nie pogorszyłoby sytuacji Europy Zachodniej ani ogólnie NATO czy USA, ponieważ ZSRR posiadał na swym terytorium punkty położone bliżej celów w Europie Zachodniej, a zasoby materialne Finlandii przejęte przez ZSRR na cele wojny miałyby małe znaczenie. Większe znaczenie ze względu na położenie geograficzne mogłaby mieć Islandia i, oczywiście, Dania.

Wprawdzie radziecka flota Północna była mniejsza niż flota Oceanu Spokojnego, to jednak oceniano ją na około 600 jednostek morskich. Jej znaczenie było jednak większe niż wynikało to z tej liczby, ponieważ Flota Północna posiadała około połowy radzieckich łodzi strategicznych wyposażonych w 3/5 ogółu rakiet strategicznych rozmieszczonych na łodziach podwodnych. Ponadto flota ta posiadała około połowy radzieckich taktycznych łodzi podwodnych.

Tymczasem liczebność floty amerykańskiej spadała w ciągu lat siedemdziesiątych, a w latach osiemdziesiątych wzrosła nieznacznie. W niewielkim stopniu wzrosła też ich obecność w rejonie wód morskich Norwegii. Państwa nordyckie wydawały się zgodnie pragnąć, by NATO w pełni pojmowało wymowę faktu, że interesy bezpieczeństwa Europy wymagają silnej obrony flanki północnej.

Bez broni atomowej

Od roku 1986 ZSRR zintensyfikował współpracę z państwami nordyckimi w dziedzinie kulturalnej i naukowo-technicznej, częściowo także w dziedzinie gospodarczej. W swym przemówieniu w Murmańsku jesienią 1987 Michaił Gorbaczow zaproponował państwom nordyckim rozszerzenie w najbliższych latach współpracy: stworzenie wspólnych przepisów, norm i metod kontroli środowiska w regionie północnym, wydobycie surowców na półwyspie Kola, wypracowanie wspólnego planu energetycznego dla Europy północnej oraz badań Arktyki.

W sferze polityki bezpieczeństwa Gorbaczow rozszerzył radziecką propozycję nordyckiej strefy wolnej od broni jądrowej na morza tego regionu — jednakże miała ona małe szanse zadowolić Zachód, ponieważ nie obejmowała zakazu przebywania łodzi podwodnych wyposażonych w broń jądrową. Dopiero stała poprawa stosunków ZSRR z USA i NATO mogła przynieść zwiększone szanse porozumienia. USA przestały być oskarżane przez ZSRR o zwiększanie napięcia w Europie północnej poprzez stałe patrolowanie mórz, udoskonalanie systemu kontroli ruchów radzieckich łodzi podwodnych, zwiększanie liczby pocisków rakietowych morze-powietrze i powietrze-powietrze oraz poprzez rozbudowę urządzeń nabrzeżnych dla floty amerykańskiej w Norwegii. Wzrost zaufania między mocarstwami spowodował lepsze nastawienie ZSRR do nordyckiego modelu polityki bezpieczeństwa.

W swym przemówieniu w Helsinkach 26 października 1989 Gorbaczow poparł fińską inicjatywę stworzenia w regionie nordyckim strefy bezatomowej — bezpiecznej flanki w ogólnoeuropejskim globalnym systemie bezpieczeństwa. Oświadczył on, że ZSRR wycofał z rejonów graniczących z regionem nordyckim pociski rakietowe o średnim i krótkim zasięgu i ulokował je w takich punktach ZSRR, z których nie mogą razić terytorium krajów nordyckich. ZSRR rozpoczął też wycofywanie atomowych łodzi podwodnych z Bałtyku i gotów jest zawrzeć traktat, gwarantujący Morzu Bałtyckiemu status strefy bezatomowej. Jeśli idzie o siły lądowe w rejonie granicy radziecko-fińskiej, to są one mniej liczebne niż odpowiednie siły Finlandii.

NATO na północnej flance: punkt dowodzenia w Northwood w Wielkiej Brytanii. *Fot. Archiwum*

Wzrost zaufania

W ślad za tymi zapowiedziami nastąpiły liczne kroki prowadzące do rozszerzenia współpracy i wzrostu zaufania między państwami nordyckimi i ZSRR. W roku 1988 Szwecja i ZSRR zawarły umowę o zasadach rozgraniczenia terytoriów morskich na Morzu Bałtyckim. Spór ten dotyczył granicy strefy ekonomicznej i był trudny, ponieważ pierwotne żądanie Szwecji przeprowadzenia granicy stref ekonomicznych w połowie odległości między Gotlandią a lądem ZSRR zostało odrzucone przez ZSRR. Trzeba dodać, że żądanie Szwecji nie miało całkowitego oparcia w normach prawa międzynarodowego. Sporna strefa stała się wodami międzynarodowymi, na których łowili rybacy innych krajów. Ponieważ przynosiło to Szwecji straty, ustąpiła ona w rokowaniach i otrzymała 3/4 spornej strefy.

Umowa ta dała nadzieję na analogiczne porozumienie między ZSRR i Norwegią w sprawie wytyczenia granicy na Morzu Barentsa. Należy tu podkreślić dobrą wolę ZSRR, która doprowadziła do odzyskania przez Norwegię pełni suwerennych praw nad prowincją Svalbard (archipelag Spitsbergen i Wyspa Niedźwiedzia). Spitsbergen jest integralną częścią terytorium Norwegii, ale na mocy Traktatu Paryskiego z r. 1920 wszyscy sygnatariusze jego (w tym ZSRR) mają prawo eksploatacji bogactw naturalnych archipelagu, do których od lat należy węgiel, a obecnie najprawdopodobniej także ropa naftowa. Po odrzuceniu radzieckiego żądania rewizji traktatu ZSRR rozpoczął zaraz po II wojnie światowej politykę faktów dokonanych, zmierzającą do odrzucenia kontroli administracji norweskiej nad swymi obiektami i obywatelami na Spitsbergenie. Powodowało to liczne incydenty, zaostrzające stosunki radziecko-norweskie i podkopujące wzajemne zaufanie. Stan ten trwał do połowy lat osiemdziesiątych i dopiero ostatnie lata przyniosły stopniową poprawę, która doprowadziła w r. 1990 do stanu uznanego przez Norwegię za pełną restytucję jej suwerennych praw nad tym obszarem.

Z powyższego przeglądu stosunków radziecko-nordyckich wynika, że ZSRR może uważać swą flankę nordycką za bezpieczną. Mniej ufni wobec ZSRR są Nordycy. Obawiają się oni, że wycofywanie oddziałów wojskowych i broni atomowej z Europy Środkowowschodniej już spowodowało ich dyslokację do rejonów północno-zachodnich ZSRR lub na jednostki morskie, operujące na morzach północnych. Redukcja konwencjonalnych sił lądowych może też zostać zrekompensowana wzrostem sił morskich. Najgroźniejsze jednak dla bezpieczeństwa regionu nordyckiego i całej Europy byłoby utrwalenie dyktatu politycznego ZSRR w Europie Środkowowschodniej.

Stanisław Wilczyński

Jak zwyciężać mamy...

Specjalne uprawnienia dla rządu to ostatnia szansa, jaką daje prezydent tzw. liberałom. Szanse zrealizowania szumnych zapowiedzi i wyprowadzenia gospodarki ze „spirali śmierci", w którą wprowadził ją rząd Tadeusza Mazowieckiego, a szczególnie Leszka Balcerowicza. Jestem jednak prawie pewien, że panowie ci realnie nie skorzystają z tej propozycji, ponieważ nie wiedzą, do jakiego celu to narzędzie użyć.

Nawet ślepiec może zauważyć, że rząd nie ma żadnej pozytywnej koncepcji. Program stabilizacji w wydaniu Leszka Balcerowicza zakończył się bezprzykładną klęską: recesją nie mającą precedensu w dobie współczesnej, spadającym dramatycznie poziomem życia rodzin, marginesową prywatyzacją, która przyniosła korzyści obcemu kapitałowi i własnemu establishmentowi. Towarzyszyła temu duża ilość afer.

I społeczeństwo, i prezydent liczą na szybkie efekty restrukturyzacji gospodarki. Jest to możliwe do osiągnięcia tylko przy zastosowaniu środków nadzwyczajnych. Tego nie da się zrobić przy pomocy „magdalenkowego parlamentu" i rządu, który pogardza rodzimą produkcją, rolnikami i przedsiębiorczością.

Mówi się, że rząd realizuje program uzgodniony z MFW. Moim zdaniem to fałsz. MFW był zawsze otwarty. Po udanej ostatniej wizycie prezydenta Wałęsy w USA, Fundusz okazał się nawet elastyczny. W ramach uzgodnionego z nim programu było miejsce na politykę przemysłową, zmiany własnościowe, na realne wprowadzenie paru miliardów dolarów w rozwój produkcji krajowej i infrastruktury drogowej, telekomunikacyjnej i proekologicznej.

Przez dwa lata rząd łudził przedstawicieli MFW swoimi rzekomymi chęciami ewolucji prokapitalistycznej, podsuwając im fikcyjne informacje i wnioski. Z MFW prowadzono dziwny dialog. Nie uzupełniono twórczo programu stabilizacji, zachowywano się z pozoru serwilistycznie, zaś faktycznie oszukiwano opinię polską i światową.

Kamuflażu tego nie miał kto ujawnić. Trudno przecież tego oczekiwać po partiach komunistycznych, które wraz z UD budowały go w Magdalence, a potem w parlamencie i bankach. Partiom prawicowym w ogóle nie dano szans zaistnienia, Kongres Liberalno-Demokratyczny jest prawicowy raczej tylko werbalnie. Chadecja polska zajmuje się wszystkim gorliwie, ale za to bez sensu i bez realnego wpływu na byt materialny. Niektórzy księża, których niekwestionowanym zadaniem jest odbudowa moralności i rechrystianizacja Polski, udzielają skwapliwie poparcia mało wartościowym politykom, głównie lewicowym, a niekiedy zgoła lewackim.

Zanim w Polsce ukształtuje się normalny wielopartyjny system polityczny, stoimy już dziś jako kraj przed najpoważniejszymi zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Słuszne jest w tej sytuacji utworzenie Prezydenckiej Rady Ekonomicznej, która wesprze korzystnie zapoczątkowane działania prezydenta w domenie polityki zagranicznej i ukształtuje fundamenty pod prawdziwą gospodarkę kapitalistyczną, choćby w niej nie wszystko na początek miało być kapitalistyczne. Musi sprywatyzować i odkomunizować banki, przebudować głęboko chore finanse publiczne i system podatkowy, uruchomić konkurencyjną produkcję i umożliwić ujawnienie się potencjalnych możliwości produkcyjnych tkwiących w narodzie.

Wydaje się, że dla wsparcia politycznego rady powinien zostać powołany Ponadpartyjny Blok Współpracy z Prezydentem, skupiający wszystkie zdrowe i nie skompromitowane siły polityczne na rzecz modernizacji kraju. On też zaapeluje do licznych ciągle patriotycznych fachowców w bankowości, biznesie — tak prywatnym jak i państwowym — w wojsku i policji, aby oddali swe siły twórcze na niezbędny okres do dyspozycji prezydenta i Rady Ekonomicznej, żeby wydobyć kraj z otchłani niebezpieczeństwa anarchizacji i upadku.

PBWP będzie też oczekiwał dostarczenia dowodów pozwalających sprzedawczyków i zwykłych malwersantów dobra publicznego oddać w ręce sprawiedliwości. Bez tego aktu katharsis nie będzie bowiem możliwe zogniskowanie narodu dla osiągnięcia swego odrodzenia. Dwa ostatnie lata pokazały to dobitnie.

Rada będzie się wzorowała na najbliższym nam przykładzie sukcesu gospodarczego, osiągniętego w podobnej sytuacji — to znaczy na dokonaniach Ludwiga Erharda w końcu lat 40. w Niemczech. Elementy instrumentacji gospodarczej oraz polityki rozwojowej i przemysłowej zaczerpnięte powinny zostać też z doświadczeń niektórych podziwianych krajów regionu Pacyfiku.

Odejście rządu, a wicepremiera Balcerowicza w szczególności, nie będzie obchodzić Zachodu. Ich interesuje, czy idziemy do rynku i wolnej przedsiębiorczości oraz z biegiem czasu do demokracji, czy też nie. Jeśli np. uwolnimy wszystkie rynki, w tym płacy i pracy, to jest to ich postulat. Jeśli będziemy parę lat administrować kursem walutowym, aby w przyszłości go uczynić płynnym, to też nas zrozumieją. Jeśli zrobimy reformę walutową i zwiążemy się z koszykiem Europejskiej Jednostki Walutowej (ECU), to przyklasną. Jeśli uaktywniać będziemy stosunki gospodarcze z Niemcami — a dalej przez Niemcy, ze Wspólnotą Europejską — będzie to właśnie to, o co chodzi...

Skończymy wojnę handlową i przejdziemy na clearingowe rozliczenia dolarowe ze Wschodem. Nie będzie też sprzeczna z wyobrażeniami Zachodu nasza aktywna polityka przemysłowa zmierzająca do minimalizacji bezrobocia, promowania eksportu, pielęgnowania prywatnych małych i średnich przedsiębiorców. Oni to też robili i robią.

Nie jesteśmy z dżungli, jesteśmy z tej samej Europy, tyle że uboższej i to nie z własnej raczej winy.

Aleksander Jędraszczyk

(Dr Aleksander Jędraszczyk jest ekonomistą, działaczem gospodarczym, politykiem, autorem alternatywnych programów gospodarczych).

PROSTO DO TWOICH RĄK!

Szanowny Czytelniku,

oferujemy Ci nowy, sprawdzony na Zachodzie **system prenumeraty kroczącej**. Przesłanie określonej kwoty powoduje dostarczanie kolejnych numerów pisma aż do wyczerpania się wpłaconych pieniędzy, przy czym klient jest informowany z wyprzedzeniem co najmniej 2 tygodni, że kończy mu się prenumerata.

Na przekazie pieniężnym należy podać dokładny adres odbiorcy oraz informację, od którego numeru pragnie otrzymywać „Tygodnik Gdański" (początek prenumeraty kroczącej — od nr. 15 z datą 14 kwietnia). Do ceny każdego egzemplarza doliczany będzie koszt wysyłki (aktualnie — 1000 zł).

Pieniądze należy wpłacać na rzecz Księgarni Wysyłkowej „Ekstrema" PKO, V Oddz. Warszawa nr konta: 1557-223904-136

Tym sposobem pismo będzie trafiało co tydzień

PROSTO DO TWOICH RĄK!

R-10-RTG/15

„Przygnębiający pokaz egoizmu..."

(List otwarty)

Wielce Szanowny Panie Prezydencie!

Mimo prób z mojej strony, nie znalazł Pan możliwości spotkania i rozmowy osobistej. Chciałbym więc tą drogą przekazać Panu poglądy swoje i Ruchu Demokratyczno- Społecznego na sytuację kraju, którego jest Pan konstytucyjnym zwierzchnikiem.

Najwyższy niepokój budzi świadome zwiększanie napięcia społecznego przez ludzi, którzy widzą w tym swój interes polityczny. Atakowanie Sejmu — instytucji będącej fundamentem państwa — wykorzystywanie do rozgrywek politycznych Urzędu Prezydenta, paraliż prac rządu napełnia pesymizmem Polaków i niechęcią — świat zewnętrzny, uważnie nas obserwujący. Żadne, najbardziej wymyślne argumenty nie mogą usprawiedliwiać chaosu, jaki zaczyna opanowywać szczyty władzy państwa. Nie ma na to przyzwolenia społecznego ze strony Polaków, zmęczonych i coraz bardziej rozgoryczonych.

Apeluję do Pana Prezydenta o przerwanie tego przygnębiającego pokazu egoizmu i braku odpowiedzialności. Jest Pan najwyższym autorytetem w kraju, który Panu zawierzył i wyniósł na to stanowisko. Pozorne działania, sztuczna aktywność według wzorów sprzed lat nie poprawiają lecz pogarszają sytuację Polski. Zamiast niszczyć, musimy zjednoczyć wszystko i wszystkich dla jej odbudowy.

Apeluję do Pana, Panie Prezydencie, żeby mądrze i rozważnie użył Pan swojego autorytetu i swoich uprawnień dla przerwania tego politycznego chaosu. Wymaga tego interes nas wszystkich i dobro naszej wolnej Ojczyzny.

Zbigniew Bujak
Przewodniczący
Ruchu Demokratyczno-Społecznego

Opuszczone miejsce

Czy pamiętamy jeszcze dlaczego zerwaliśmy się do działania w 1980 roku? Nie chodziło wtedy przecież tylko o sprawy ekonomiczne, domagaliśmy się demokracji, wolnych, tajnych wyborów. Nasz statut, nasza ordynacja wyborcza miały być wzorem w drodze do przyszłej niepodległej Rzeczypospolitej.

Czy dzisiaj pamiętamy zapisane w statucie ideały? Czasami odnosi się niestety wrażenie, że NSZZ „Solidarność" zamieniła się w biurokratyczną instytucję — z bierną masą członkowską na dole (rzadkie zebrania, niska frekwencja). Nie mogę uogólniać, ale na przykład nasze szkolne koło „S" funkcjonuje drugi rok z pseudozarządem wybranym w drodze głosowania jawnego, tak jak przy pierwszym lepszym wniosku formalnym. Komisja Zakładowa Oświaty w Gdańsku wie o tym, ale udaje, że właściwie nic się nie stało. Złamano zasady statutowe, pogwałcono reguły demokracji, ale to nie jest widać takie ważne.

Zastanawiamy się czasami, czy przyczyną złej sytuacji „S" nie jest bierność przeważającej części tych co zakładali Związek w 1980 roku? Poświęciliśmy się sprawom zawodowym, rodzinnym itp. Życie nie znosi próżni, opuszczone miejsce zajęła kadra nowa, która uaktywniła się w Związku dopiero w 1988. Nie chcemy krzywdzić wszystkich, ale uparcie przychodzą do głowy niemiłe skojarzenia.

Czytelniczki z Gdańska
(imiona i nazwiska znane redakcji).

Pod semaforem

Członkowie Rady Sekcji Krajowej Kolejarzy NSZZ „Solidarność" zebrani w Poznaniu z okazji 35 rocznicy „Czerwca-56" wyrażają zdecydowane poparcie dla działań Prezydenta RP Lecha Wałęsy zmierzających do zaktywizowania prac Sejmu i doprowadzenia do jak najszybszych, w pełni demokratycznych wyborów parlamentarnych.

Niepokojące jest, że siły postkomunistyczne usiłują zawrócić raz obrany kierunek na demokratyzację życia w kraju. Opieszała praca Sejmu RP prowadzi do destabilizacji i chaosu w gospodarce kraju, czego przykładem jest sytuacja w PKP, a mianowicie brak ustaw dotyczących naszego przedsiębiorstwa.

Przewodniczący Rady
Sekcji Krajowej Kolejarzy
NSZZ „Solidarność"
Krzysztof Mamiński

"EUROPEJSKIE IGRZYSKA URODY '91"

BART PROPONUJE BART ZAPRASZA

BART

QUEEN OF EUROPE

GWIAZDY ŚWIATOWEJ SŁAWY

SANDRA CZERWONE GITARY DONOVAN

19 - 20 lipca 1991 godz. 20.30

OPERA LEŚNA - SOPOT

Bilety do nabycia: BART, Biuro Obsługi Widza tel. 51 44 43, 51 72 54 w. 240 kasy "Orbis".

R-63-RTG/3

Szyby samochodowe z dostawą

hurt RFN.

Oferty kierować:
Dział Marketingu
PRZEKAZ Sp. z o.o.
Gdańsk, Targ Drzewny 3/7.

R-70-RTG/91

Virtuti Militari

Redakcja słownika biograficznego: „Kawalerowie Virtuti Militari 1792 — 1945" informuje, iż gromadzi już materiały do tomów obejmujących nadania za czyny z lat 1792 — 1864 (T. 1), 1939 r. (T. 3), Polskie Siły Zbrojne 1940 — 1945 (T. 4), Konspiracja 1939 — 1945 (T. 5). Nadal prosimy o nadsyłanie materiałów za czyny z lat 1914 — 1921 (T. 2).

Pierwsze części Tomu 2 można już zamawiać w Redakcji, gdyż ukażą się jeszcze w tym roku. Wszystkim zainteresowanym prześlemy informacje i ankiety.

Redakcja Słownika Biograficznego
„Kawalerowie Virtuti Militari 1792-1945"
Wyższa Szkoła Inżynierska
ul. Racławicka 15
75-620 Koszalin

Liberałowie przyspieszają

PRYWATYZACYJNY EKSPRES

W przekształcaniu własności przedsiębiorstw państwowych określanych często jako „niczyje" zapowiada się przyspieszenie. Minister Janusz Lewandowski ogłosił projekt ekspresu prywatyzacyjnego, który ma być „znaczącym krokiem w uwłaszczaniu obywateli".

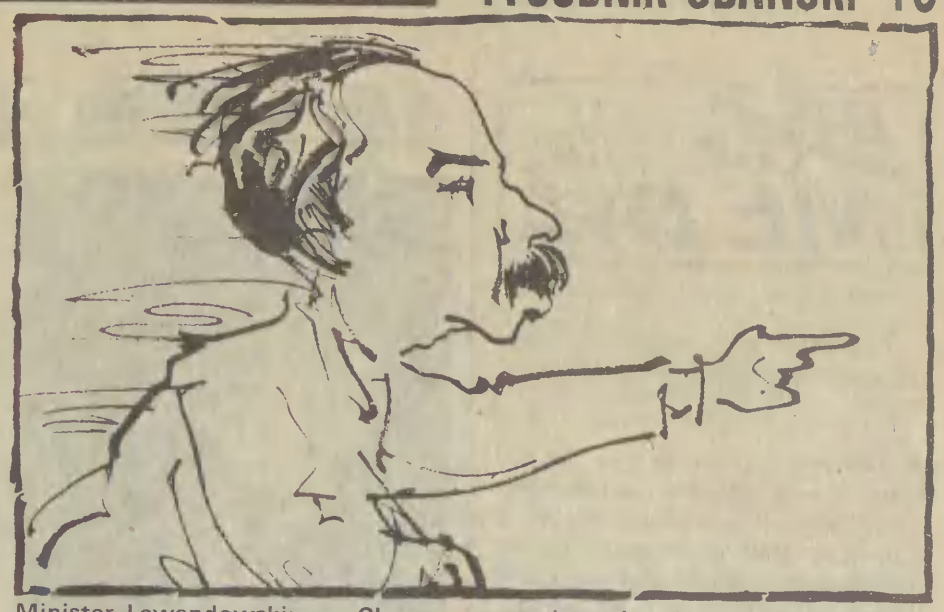

Rys. Wiesław Matuszek

Minister Lewandowski: — „Chcemy sprowokować zmiany o historycznych następstwach".

Rada Ministrów skierowała program powszechnego uwłaszczenia do konsultacji. Jednakże nie czekając na jej wynik, z kampanią promocyjną ruszymy z kopyta — powiedział na konferencji prasowej minister Lewandowski. W lipcu ma być ekspresowo sprywatyzowanych czterysta zakładów przeznaczonych do rozdania pomiędzy obywateli. „Gazecie Gdańskiej" minister powiedział: „Chcemy sprowokować zmiany o historycznych następstwach, które będą procentowały przez pokolenia".

Pomysł na powszechną prywatyzację jest dorobkiem liberałów gdańskich. Dwa lata temu liberałowie ogłosili program prywatyzacji poprzez rozdawnictwo bonów majątkowych. Korzystając ze swoich „pięciu minut" u władzy konsekwentnie wdrażają trochę zmodernizowane projekty. „Program ten — powiedział Janusz Lewandowski — będzie trwałym wkładem liberałów w zmiany ustrojowe kraju. Krok numer dwa po planie Balcerowicza".

Zróbmy krok na ziemię.

Akcje na papierze

Akcje są papierami wartościowymi. W płatnym ogłoszeniu prasowym sygnowanym hasłem „Rusz do akcji" Ministerstwo Przekształceń Własnościowych na wstępie przypomina, że „od półtora roku Polska znajduje się w okresie pokojowej zmiany ustroju". Następnie wyjaśnia się co to jest akcja: „Część kapitału spółki — dowód współwłasności jej majątku". Posiadanie takiego papieru wartościowego uprawnia do udziału w zyskach (dywidendach) i do głosowania na zgromadzeniach czyli „wpływania na decyzje co do kierunku rozwoju przedsiębiorstwa".

Kolejne plusy z akcji to lepsza lokata kapitału niż na kontach bankowych, możliwość udziału w spekulacjach giełdowych i zarabiania jako rentier...

Takie korzyści można mieć, gdy się jest właścicielem papieru wartościowego.

W prywatyzacji Lewandowskiego każdy dorosły obywatel na początek dostanie wpis numeru ewidencyjnego wpisany do dowodu. Ten pierwszy krok w uwłaszczeniu powszechnym będzie wykonany jesienią tego roku. Natomiast wiosną (lecz 1993 roku) zgodnie z harmonogramem prywatyzacji — każdy obywatel otrzyma zaświadczenie potwierdzające, że akcja została mu przydzielona. Wówczas każdy będzie mógł dowolnie dysponować swoją akcją — zamieniając papier na gotówkę. A więc dopiero za półtora roku akcja nabierze wartości. Wówczas sprywatyzowane przedsiębiorstwa będą wycenione. Przez półtora roku zarządzania przez nowych (?) menedżerów przedsiębiorstwa mają poprawić swoją kondycję ekonomiczną.

Kolejka do prywatyzacji

Do prywatyzacji czeka się w kolejce. Pierwsza „piątka" spółek, która już obraca się na giełdowej karuzeli, miała szczęście. Ministerstwo Przekształceń Własnościowych ciągnęło kierownictwo oraz samorząd pracowniczy za uszy, aby zgodzili się sprywatyzować swoje zakłady na zasadach komercjalizacji (przekształcenia w spółkę Skarbu Państwa, a następnie sprzedaży akcji pracownikom oraz akcjonariuszom wolnorynkowym.

W ciągu półrocza 1991 sprywatyzowano już prawie czterysta kolejnych małych i średnich przedsiębiorstw — większość tzw. ścieżką likwidacyjną, część w formie leasingu. Jednakże wiele spółek sprywatyzowanych tkwi w martwym punkcie jako spółka Skarbu Państwa. Miesiącami trwa bowiem wycenianie majątku i cała operacja przygotowawcza sprzedaży akcji i włączania ich do obiegu giełdowego. Teraz ma być ekspres — bez wyceniania...

Ministerstwo Przekształceń Własnościowych utworzyło listę sześciuset przedsiębiorstw, które zgłosiły chęć prywatyzacji lub które zostały odgórnie wytypowane do przekształcenia w spółkę Skarbu Państwa. W pierwszej kolejności czterysta najlepszych pod względem obecnej kondycji ekonomicznej i perspektyw rozwojowych przedsiębiorstw państwowych dostanie się pod obywatelską kuratelę.

Całość akcji tych czterystu przedsiębiorstw zostanie podzielona w następującej proporcji: dziesięć procent akcji otrzyma bezpłatnie załoga danego zakładu, trzydzieści procent zostawi sobie państwo (Skarb Państwa), a sześćdziesiąt procent pójdzie w lud — na rozdanie.

W sierpniu tego roku wszystkie przedsiębiorstwa wytypowane ostatecznie do komercjalizacji zostaną przekształcone w jednoosobowe spółki Skarbu Państwa. Do grudnia ma nastąpić rozdział akcji. Akcje obywatelskie w pierwszej fazie podziału będą skumulowane w formie udziałów w tzw. Zarządach Majątku Narodowego. Będą to spółki akcyjne powołane specjalnie do nadzorowania sprywatyzowanych przedsiębiorstw. W zarządach tych mają zasiadać specjaliści z zakresu prawa, finansów, organizacji. Mówi się także o fachowcach z zagranicy.

Na koniec wątpliwości

Czy o takiej prywatyzacji marzyły załogi na czele z radami pracowniczymi oraz kadra kierownicza zakładów? Głównym motywem przekształcania się z przedsiębiorstwa państwowego w firmę były dotychczasowe preferencje podatkowe (niepłacenie popiwku). Sprywatyzowane firmy nie mają bowiem rygorystycznych limitów płacowych. Z tego powodu samorządy pracownicze domagały się przekształcenia przedsiębiorstw w akcjonariaty. Jak zachowają się obecnie?

Sprywatyzowane przedsiębiorstwa — już najlepsze na starcie — mają być wzorcem w tworzącej się gospodarce rynkowej. Rodzi to pytanie o pozostałe — ponad pięć tysięcy przedsiębiorstw państwowych. Kto je będzie ratować?

Janusz Wikowski

„Solidarność" kontra OPZZ w „Komunie"

Łatwo było brać...

Dwa kroki za jedną z tych historycznych stoczniowych bram Trójmiasta. Niewielki budynek, we wspólnym korytarzu dwie siedziby obok siebie. Po lewej Komisja Zakładowa „Solidarności", po prawej Zarząd Zakładowego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego — też — Pracowników Stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni. Każdy u siebie — schludnie, spokojnie. Lecz o symbiozie mówić trudno, wręcz niedorzecznie. Sprawy zaszły tak daleko, że trafiły aż do Społecznej Komisji Rewindykacyjnej.

Zanim do tego doszło, strony wadziły się od dwóch lat. Walka stawała się coraz bardziej zacięta, nie przebierano w środkach. Ostatnio rozgrywka toczy się z użyciem radiowęzła. Oba związki wystąpienia swoich adwersarzy komentują dokładnie tymi samymi słowy: — Tamci nas opluwają! Przy okazji może nie byłoby od rzeczy, gdyby wyspecjalizowany w tej dziedzinie psycholog zbadał, jak taka z pozoru niewinna gra nerwów, wpływa na wydajność pracy...

W Stoczni im. Komuny Paryskiej (ten patronat w nazwie wkrótce zniknie — sic!) idzie o pieniądze. Ściśle o finanse, które dziesięć lat temu miała na koncie „Solidarność". Suma 3,5 mln zł, której wartość po waloryzacji oczywiście wzrośnie, w zakładzie z kilkutysięczną załogą o niczym nie przesądza. To nie jest być albo nie być. Z drugiej jednak strony liczy się każdy grosz. Toteż odzyskać go niełatwo i tych dwóch lat było za mało, by należność wyegzekwować. Trudno wszakże oprzeć się wrażeniu, że w zawziętym sporze między obu związkami w głównej mierze idzie o pryncypia.

W stanie wojennym na konto z „solidarnościowymi" pieniędzmi nałożono areszt. O ich dalszym przeznaczeniu nie zawyrokowano w żadnym trybie procesowo-prawnym. Nic z tych rzeczy. Te pieniądze dostał po prostu w prezencie Zarząd Związku Pracowników SKP. Wtedy łatwo było brać. Teraz oddać — znaczy przyznać się, że się wzięło cudze. Poza tym, skądś jednak tę niemałą kwotę trzeba by wytrzasnąć albo ogłosić... niewypłacalność.

Na wezwania o zwrot pieniędzy Związek SKP konsekwentnie odpowiada odmową. Jego działacze twierdzą, że oni ich nikomu nie zabrali, oni je otrzymali. Tak się złożyło — twierdzą — że na podstawie podpisu dyrektora stoczni zostały one przelane na konto NSZZ Pracowników SKP. Nieczytelny podpis na urzędowym poleceniu przelewu przypisywany jest dyrektorowi Maciejewskiemu, mianowanemu na tę funkcję w stanie wojennym.

Dla działaczy ze związku PSKP stan wojenny to odległa epoka. Dzisiejszy przewodniczący zarządu Tadeusz Sakowicz mówi, że wtedy jeszcze do tej organizacji nie należał. Podobnie jak większość członków, dziesięć lat temu był w „Solidarności".

Rys. Henryk Sawka

Kiedy „Solidarność" po legalizacji wystąpiła w sierpniu 1989 roku (zresztą już po raz drugi) o zwrot swego majątku, zarząd związku PSKP w odpowiedzi nadesłał specyfikację rozchodów, których suma niewspółmiernie przewyższała wielkość „solidarnościowego" roszczenia. Wydatki te poniesione zostały między innymi na zakup 15 kompletów stetoskopów elektronicznych dla zakładowej służby zdrowia, na aparaturę dla stoczniowych ośrodków wypoczynkowych (telewizory kolorowe, magnetowidy itp.), dofinansowano też budowę sanatorium. Fundusz roztrwoniony więc nie został — argumentują na swoją obronę związkowcy PSKP. Stetoskopy służą wszak załodze całej stoczni, a też i pracownikom innych zakładów. Ze społecznego punktu widzenia pieniądze wydatkowano zatem na zbożny cel.

Dysponent funduszu nie raczy wszakże zauważyć, iż obracał cudzym majątkiem, i to w sytuacji, kiedy nie miał na to zgody właściciela, bo ten nie był pytany o zdanie. Warto może zastanowić się nad niefrasobliwością w takim rozporządzaniu cudzą własnością i bodaj na chwilę uruchomić wyobraźnię. Co bowiem powiedzieliby działacze związku PSKP, gdyby stało się na odwrót i gdyby to związkom OPZZ-owskim zaanektowano majątek? Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe. A to właśnie organizacje działające pod tym szyldem usiłowały torpedować uprawnienia „S" do wyjścia z podziemia w roku 1988.

Przewodniczący stoczniowej „S" Janusz Śniadek mówi, że po raz pierwszy — a było to jesienią 1988, jeszcze przed obradami „okrągłego stołu" — z żądaniem zwrotu zabranych pieniędzy wystąpił ówczesny Komitet Organizacyjny „S". W odpowiedzi z łamów „Głosu Wybrzeża" przypuszczono ostry atak na „Solidarność", odmawiając jej prawa do reaktywowania i odrzucając potrzebę funkcjonowania w stoczni drugiego związku: „Zarząd Zakładowy NSZZ PSKP nie widzi przesłanek i racji społecznych, by sankcjonować dwa lub więcej związków zawodowych w jednym zakładzie pracy. Opowiadamy się, by w jednym zakładzie pracy działał jeden związek".

Kolejne swoje wystąpienie o zwrot pieniędzy Komisja Zakładowa „S" uzupełniła uwagą, głoszącą, że z racji nieoprocentowania kwot związkowych na kontach bankowych roszczenie ma charakter głównie moralny, a nie ekonomiczny. Podobnego argumentu użyto w kolejnym monicie zaznaczając, że żądana suma stanowi niewielki ułamek swej pierwotnej wartości, zatem to „żądanie ma przede wszystkim charakter oczekiwania zadośćuczynienia moralnego". Zarząd związku PSKP w odpowiedzi uznał, że nie ma obowiązku dawania takiego zadośćuczynienia, ponieważ nie poczuwa się do żadnej wyrządzonej związkowi „Solidarność" krzywdy. Tu wtrąćmy, że w którejś z wcześniejszych korespondencji, ten sam zarząd wyraził nadzieję, iż spór nie doprowadzi do trwałej niezgody między obu związkami i że rozstrzygnięcie nie będzie wymagało mediatorów zewnętrznych...

Mediacja okazała się jednak nieodzowna. Podstawę prawną w tym sporze stanowić będzie ustawa z 25 października 1990 roku, przewidująca, że zwrotowi podlegają wszystkie składniki majątku związków zawodowych i organizacji społecznych, odebrane im w wyniku wprowadzenia stanu wojennego (pikantny szczegół: prezydent Jaruzelski ustawy nie podpisał, mógł sobie na to pozwolić bo nie popadał w niedoczas; zrobił to — podpisując ją jako pierwszą ustawę w prezydenckiej karierze — Lech Wałęsa). Wiadomo powszechnie, że tego rodzaju konfliktów wyłoniło się co niemiara.

Epilog sprawy z gdyńskiej stoczni nastąpi już wkrótce. Powołana na podstawie wspomnianej ustawy Społeczna Komisja Rewindykacyjna zachęciła strony do podjęcia pertraktacji ugodowych. Komisja Zakładowa „S" nie widzi możliwości pójścia na ugodę, uzasadniając to dotychczasową negatywną postawą ze strony NSZZ PSKP, a także obraźliwymi wystąpieniami, jakie kierowano pod adresem „S". Po dwóch latach spór związkowców rozstrzygany będzie w majestacie prawa. W skierowanym do związku PSKP pozwie kwota roszczenia, zgodnie ze stanem konta „S" w roku 1981, opiewa na 3,5 mln złotych. Tę skromną dziś sumę — wedle obowiązującego inflacyjnego przelicznika — trzeba jednak pomnożyć razy 120. Proszę przeliczyć.

W zarządzie związku PSKP nie chcą mi odpowiedzieć na wszystkie pytania. Uśmiechając się dwuznacznie, dają do zrozumienia, że trzymają piątego asa w rękawie i wyciągną go dopiero przed Komisją Rewindykacyjną. Poczekamy, zobaczymy.

Na razie w „Komunie" w szeregach związku PSKP jest około 25 proc. stoczniowej załogi, a w „Solidarności" około 32 proc. Test wiarygodności związkowej trwa.

Henryk Tronowicz

BYĆ albo NIE BYĆ

Sezon letni w pełni, otrzymaliśmy zatem sporo zaproszeń związanych z imprezami na morzu:

● Takiego wydarzenia nie było jeszcze w historii naszego żeglarstwa. Zamiast wyruszać z Polski w daleki świat, tym razem żeglarze ze świata przypłynęli do nas. W minioną niedzielę armada składająca się z 27 jachtów, mających na swych pokładach około 200 Polonusów ze wszystkich kontynentów, wpłynęła do Gdyni. Jej jednostką flagową był jacht „Solidarity", prowadzony przez kpt. Andrzeja Piotrowskiego z Chicago, który był inicjatorem i głównym organizatorem całego przedsięwzięcia. Kolejnymi etapami Światowego Zlotu Polonii Żeglarskiej będzie Kołobrzeg, a następnie Szczecin, gdzie 27 lipca nastąpi zakończenie tej niezwykłej imprezy.

● Również do Gdyni zawinął niedawno okręt Marynarki Wojennej Królestwa Belgii „Bovesse", który przeprowadza na Bałtyku program szkolenia nawigacyjnego. Załoga trałowca zwiedzała Trójmiasto, Malbork i okręt „Błyskawica", natomiast jej kapitan por. D. Locmant złożył wizytę pani prezydent miasta oraz spotkał się z polskimi kolegami po fachu.

● Szansę obejrzenia (i sfotografowania) „Błyskawicy" oraz innych okrętów bojowych rodzimej Marynarki Wojennej mieli dziennikarze z całej Polski, dzięki zaproszeniu rzecznika prasowego MW kpt. Antoniego Ciejpy. W programie przewidziano także rejs wodolotem na Hel oraz obiad (odpłatny) w kasynie oficerskim.

● Przewodniczący KPN Leszek Moczulski zwołał konferencję prasową, poświęconą projektowi Konstytucji III Rzeczypospolitej. KPN przygotowała autorski projekt konstytucji wraz z aktami wprowadzającymi, w rodzaju konstytucji tymczasowej oraz ustawy o restytucji niepodległości Polski. Projekty te przedstawiają zasady budowy nowego państwa polskiego oraz zawierają propozycję uporządkowania i rozliczenia prawnego i politycznego spadku po PRL.

● Redaktor naczelny „TG", w kopercie z napisem „Tajne i prywatne", otrzymał zaproszenie od firmy Arthur Andersen Co na spotkanie zorganizowane z okazji dwulecia działalności tej kompanii na naszym gruncie. Jest to jedna z największych na świecie firm konsultingowych. Na liście jej najważniejszych polskich klientów znajdują się przedsiębiorstwa, banki i agendy rządowe. AA Co opracowała m.in. projekt restrukturyzacji przemysłu węglowego, zasady polityki cenowej gazu, studium opłacalności programu powszechnej prywatyzacji. Weryfikuje ona także sprawozdania finansowe NBP i kilku banków prywatnych.

● W Ustce, w prywatnym kinie „Delfin", trwa właśnie (20- 25 lipca) Mały Festiwal Filmów Studia im. K. Irzykowskiego. Przegląd zorganizowany został w ramach obchodów dziesięciolecia istnienia studia. Swój udział zapowiedzieli reżyserzy oraz aktorzy — m.in. Anna Majcher, Jacek Wójcicki i Mirosław Baka.

● Gdy upał na dworze, warto może poszukać wytchnienia w salach wystawowych. I tak w Muzeum Zamkowym w Malborku (grube mury, chłód ponury) oglądać można europejski oręż paradny XVII-XIX wieku — w tym polonica — ze zbiorów Ermitażu w Leningradzie. Natomiast w galerii Towarzystwa Przyjaciół Sopotu można podziwiać gobeliny Wandy Kadłubowskiej.

● Na koniec coś dla ciała. W miniony weekend zostaliśmy zaproszeni na otwarcie nowej sopociej pizzerii „Sapri" przy ul. Podjazd. Właściciele serwują szesnaście (!) rodzajów tego przysmaku — wszystkie według oryginalnych receptur włoskich — począwszy od pizzy „Vegetariana" aż do podawanej z ananasem „Tropicany". Smakosze mogą raczyć się pizzą z małżami, krewetkami, tuńczykiem lub tradycyjnym bekonem czy salami — dodatki równie ekskluzywne. Każde danie przygotowuje się na zamówienie — wyposażenie kuchni także sprowadzono z Włoch. W Trójmieście to pierwszy tego typu lokal. Już niedługo będzie można zamówić pizzę telefonicznie z dostawą pod wskazany adres. Tak trzymać i życzymy smacznego.

Nagroda dla Andrzeja Brauna

Raz na trzy lata Polski Pen-Club przyznaje nagrodę marynistyczną imienia komandora Kazimierza Szczęsnego (ufundowaną przez wdowę, panią Halinę Szczęsną). Trzy lata temu po raz pierwszy wręczono ją Zdzisławowi Najderowi. W tym roku otrzymał ją — Andrzej Braun.

Honor i wierność odwaga i solidarność

Kiedy zarząd Pen-Clubu, ukonstytuowany jako jury, przyznał Andrzejowi Braunowi nagrodę marynistyczną, przyjąłem to jako wyraz uznania dla całego jego pisarstwa, a nie tylko tego, które wykazuje związki z morzem. Nie da się bowiem ukryć — większość z nas jest skłonna traktować powieść marynistyczną jako gatunek literacki zawężony tematem, przez to mniej nośny. Ale i też sam Conrad zżymał się na krytyków, określających go jako marynistę.

U Andrzeja Brauna, jak u każdego wybitnego pisarza, na planie pierwszym jest człowiek. A morze? Morze to takie rozchwiane miejsce, gdzie człowiek wyraziściej uzmysławia sobie zmagania ze swoją egzystencją. Takie było zresztą najogólniej „morze" w utworach Conrada. Andrzej Braun, pisarz urodzony w Łodzi, a więc z dala od morza, zapewne właśnie poprzez Conrada poznał siłę oddziaływania tego toposu. A obcowanie to zaprowadziło go do refleksji głębszej — nad zagadnieniami moralności jednostki.

Zaczęło się w latach pięćdziesiątych, a konkretnie w 1953 roku, kiedy napisał swoją pierwszą powieść — „Lewanty". Czytelnicy przyjęli tę książkę z wielką życzliwością, mimo że wielu dysponentów krytyką literacką potępiło tę książkę jako wręcz szkodliwą. Co było w niej szczególnego? W tym szarym, biednym i nudnym świecie produkcji statków typu „Lewant", który miał być widziany barwnie, bogato i radośnie, pisarz zobaczył dramatyczny splot konfliktów wewnątrz środowiska. Także między robotnikami a władzą. Stoczniowcy odebrali literacki obraz swego środowiska jako niezwykle prawdziwy, choć przecież w rzeczy samej, każda powieść produkcyjna była wtedy również powieścią z tezą. Andrzej Braun przekorny jednak wobec stereotypów, po raz pierwszy w takim produkcyjniaku zapytał o cenę wierności sobie...

Dwadzieścia lat później, w 1975 roku ukazuje się powieść — „Próba ognia i wody". Pisarz wraca w niej do stoczni. Tym razem inny splot wydarzeń, już tragiczny. W grudniu 1961 roku w pożarze na ms. „Konopnicka" zginęło 21 stoczniowców. To więcej ofiar, niż padło na ulicach Gdańska w dniach tragicznego grudnia 1970 roku. Książka Brauna musiała ewokować oba te tragiczne wydarzenia, przynajmniej wśród czytelników na Wybrzeżu. Swojego bohatera, podobnie jak Conrad, postawił autor wobec wyzwania czasu i w przekonaniu, że sprawę osobistego wymiaru duchowego można doświadczyć wszędzie, że postawa heroiczna jest dzisiaj możliwa, i wreszcie, że można pisać powieści o człowieku, który dotrzymuje „wierności samemu sobie".

Braun zdaje się mówić, że momenty heroiczne mogą być dane każdemu, niezależnie od środowiska. Jak napisał wtedy Włodzimierz Maciąg, „jest to sprawa wymiaru duchowego, rodzaj olśnienia wewnętrznego, którego doświadczyć można w pewnych sprzyjających sytuacjach, a tych nam życie zawsze może dostarczyć" (Nowe Książki, 22/75).

Jest to wyraźne wskazanie na wpływ moralistyki Conradowskiej. Krytyka wskazała również na posłużenie się w tej książce wzorcem Conradowskiego Lorda Jima. To trafne spostrzeżenia. Tradycja Conrada miała bowiem dla pokolenia Brauna znaczenie szczególne. Zaraz po wojnie utożsamiano ją z wiernością ethosowi, kultywowanemu w świecie ideałów akowskich. Ta etyka — jak chciała Maria Dąbrowska — miała być fundamentem współczesnej myśli humanistycznej. Czy w zetknięciu z parszywą współczesnością nie okazała się ona jednak anachroniczna? Powojenne losy bohaterów zdają się to potwierdzać, jak i samotne zderzenie pisarza z władzą, na pamiętnym zjeździe pisarzy w Katowicach. I niosły one doświadczenia, że co prawda żyjemy w czasie historii, ale istniejemy jako osoby, że w oparciu o moralistykę Conrada czy Camusa możemy żyć również w czasie ludzkim.

Owocem zafascynowania Conradem, owocem wędrówek, podróży i studiów były także książki bezpośrednio nawiązujące do wielkiego poprzednika. Najpierw album „Dotknięcie wschodu" (1970), w którym Braun rekonstruował pejzaż, opierając się na tekstach Conrada oraz na pewnej liczbie współczesnych mu dokumentów i fotografii. Następnie książka „Śladami Conrada" (1972) — obszerna i wspaniała opowieść, będąca dokumentem poszukiwania zarówno tajemnicy wielkości Conrada, jak i tajemnicy swojej własnej twórczości, swojego życia wreszcie. Ta dyskusja z samym sobą, przekonanie, że poprzez analizę dzieł i życia wielkiego pisarza można dotrzeć do źródeł inspiracji twórczości, była jednak w gruncie rzeczy podszyta niewiarą w możliwości odniesienia motywów tej etyki do dzisiejszej rzeczywistości. Jak napisał Zbigniew Flisowski, „ta podróż nie wszystko wyjaśnia, nie ma klucza do tajemnicy oddziaływania dzieła literackiego" (Nowe Książki — 5/73).

Wreszcie „Kreacja Contaguany" (1989) — dokument literacki napisany z benedyktyńską wprost starannością, który jest poszukiwaniem tropów Conrada w świecie południowoamerykańskim. Chodzi w niej o materiał fikcji literackiej z powieści „Nostromo". Andrzejowi Braunowi nie udało się rozświetlić znaków tajemnych, stawianych przez Conrada w tej książce. Nie mogło się to udać, gdyż jak mawiał Conrad, „jawność jest zgubna dla mroku dzieł artystycznych". Owo podjęcie próby bezskutecznego przeniknienia nieprzeniknionego, ukazuje nam laureata jako człowieka, dla którego twórczość własna, jak współtworzących, jest stałym wyzwaniem.

Tak, więc mówięc o książkach Andrzeja Brauna, nawet o tych, których dzisiaj tu nie wymieniłem, mówimy o pisarstwie, w którym nie chodzi o „przygody". Brauna, podobnie jak jego wielkiego poprzednika, zajmują głównie sprawy honoru i wierności, odwagi, solidarnej przyjaźni.

Myślę, że chciał nam w swoich książkach powiedzieć także to, że istniejemy dzięki gotowości do buntu, który niejednokrotnie trzeba podjąć, jeżeli chce się realizować swoje człowieczeństwo. To przesłanie nie jest anachroniczne, ciągle odnawia się jego aktualność.

Bolesław Fac

Spółki lewicujące

Historyczny aforyzm Joanny Szczepkowskiej sprzed dwóch lat może się okazać chybiony, dzisiaj bowiem najmodniejszym tematem politycznym stali się znów komuniści, chociaż zgoła w odmiennym kontekście: w nadchodzących wyborach mają oni ambicje (mieli zawsze!) stać się kartą przetargową i to w koalicji z najtęższymi umysłami. Ich aspiracje nie są zresztą pozbawione podstaw, gdyż prawie w całej tak zwanej postępowej prasie rozpoczęły się dość szczególne dywagacje pod hasłem „kto to są tak naprawdę ci komuniści i czy to pojęcie jest aby definiowalne". Bo taki snop świetlnej czerwieni wszystkim różowił twarze, nawet przedszkolakom z ich socjalistycznymi wierszykami na 1 Maja.

Toteż dzisiaj, każdy przeciętny Polak po czterdziestce na pewno codziennie nerwowo spogląda w lusterko, co jest zajęciem zbytecznym, gdyż nawet ci co zęby pojedli na wieloletniej opozycji, wciąż przede wszystkim czują się dziećmi PRL-u.

Tydzień temu, w poprzednim telewizyjnym programie „Bez znieczulenia", wobec zdecydowanej negatywnej postawy liberałów, nie wyrzekł się koalicyjnych ciągot do komunistów Adam Michnik, ale z kolei w czwartek w „Widomościach" profesor Bronisław Geremek konkludował: „Unia nie głosuje z czerwonymi. Jest odwrotnie, to lewa strona sali głosuje tak jak my", zaś tego samego dnia w „Gazecie Wyborczej" Jacek Kuroń uznał taki pakt za absurdalny zarzut i oświadczył: „Natomiast jak się zdarzy, że my głosujemy tak samo jak SdRP, to oni (OKP) natychmiast ogłaszają, że jesteśmy w sojuszu z SdRP".

Lewa prawa, prawa lewa — nikt nie mówi głośno, że ta przypadkowa zbieżność obu stronnictw dotyczyła odrzucenia projektów zmian konstytucji i ordynacji wyborczej. Rozstrzał tych trzech opinii nasuwa jednak ciche podejrzenie, że Unia Demokratyczna na temat tak zdumiewającego sojuszu — jest wewnętrznie podzielona.

A co na to komuniści? Nie wypowiadają się na ów drażliwy temat i tajemniczo uśmiechają się. Tak to przynajmniej wyglądało w wykonaniu Leszka Millera, który reprezentował swoją partię SdRP w starciu ze Stefanem Niesiołowskim, przedstawicielem ZChN-u oraz prowadzącym gdańskie operacje „Bez znieczulenia" — Wiesławem Walendziakiem. SdRP pozostaje impregnowana na zarzuty dziedziczenia w prostej linii majątku i tradycji PZPR-u, na swoją wysforowaną pozycję względem szans innych partii politycznych, na zbijanie kapitału politycznego na muldach rzeczywistości, za które można by ich obciążyć odpowiedzialnością.

SdRP nie chce mówić o błędach przeszłości, przynajmniej własnej, lecz o teraźniejszości i, oczywiście, o przyszłości. Młodsze rodzeństwo kreatorów stanu wojennego martwi się więc dzisiaj o ewentualny belwederski zamach stanu oraz skłania boleściwie głowę nad losem klasy robotniczej... Pewnie słabo znam się na polityce, ale skądinąd jest to jedyny znany mi przypadek, w którym bogata, a przynajmniej nie biedna mniejszość pochyla się z troską nad ubożejącym w większości społeczeństwem, systematycznie pomnażając w spółkach swój dobytek. I na dodatek nazywa się to jeszcze usuwaniem ze sceny politycznej lewicy demokratycznej.

Jest to swoisty przyczynek do dwudziestowiecznej ewolucji pojęć na temat postępu, konserwy i lewicy, a także ewolucji pojęcia troski.

W głośnym serialu Bolesława Sulika „In Solidarity" raz tylko pojawia się termin spółek nomenklaturowych, a i to w epizodycznej reklamówce wyborczej. Niestety autor nie tłumaczy tego zwrotu na angielski, bardziej sumienny za to staje się przy słowie „tak" czyli „yes"! I słusznie, bo czy taki Brytyjczyk jest w stanie pojąć trudne słowo nomenklatura? A w ogóle, zgodnie z dewizą SdRP, przestańmy wciąż myśleć o przeszłości. Na początek proponuję zrezygnować z archaicznej nazwy spółek nomenklaturowych, znacznie lepiej i nowocześniej brzmią: spółki lewicujące...

Teresa Krywow

Szukam sponsora

Są słowa, które zdobywają sławę i pysznią się nią, jak aktorzy filmowi. Nie może się bez nich obejść żaden artykuł, żadna okolicznościowa mowa. Takie modne słowo zalśni niekiedy na krótko, bywa też, że powtarzane jest aż do całkowitego wytarcia.

Rekordowo długo trwała kariera terminologii wojennej, stosowanej do opisu działań gospodarczych. Przez całą PRL toczyły się „bitwy o dobrą jakość" (dla przeciwstawienia zapewne „walce ze złą jakością"), „batalie o buraki cukrowe", ustawiano także „fronty robót". Nikogo przy tym nie interesował końcowy efekt gazetowej wojny, nie ogłaszano zwycięstw (czasem tylko klęskę urodzaju lub nieurodzaju, ale to się nie liczy, to już siła wyższa), co nie powinno dziwić. Wyrafinowani zdobywcy wiedzą przecież, że dążenie do celu jest znacznie bardziej podniecające, niż jego osiągnięcie.

Przyzwoitą karierę zrobiła też „eskalacja". Wylansowana do opisu wojny w Wietnamie, trafiła z czasem pod strzechy. Eskalację działań wojennych czy też eskalację zbrodni zastąpiła eskalacja żądań strajkowych, a nawet „eskalacja wysiłku fizycznego przy podnoszeniu ciężarów". Eskalacja walki o pokój nastąpiła 13 grudnia i — zapewne z przekory — wyrugowała z oficjalnej prasy terminologię wojenną. Autorom z tamtych gazet (oni pisali, więc wiedzą) należy chyba wierzyć gdy mówią, że gorset cenzury i autocenzury był wtedy straszny, a co drugie słowo miało kolor moro.

Dopiero gdy błysnęła jutrzenka kapitalizmu, zrobiło się w prasie barwnie, bo zaczęły wychodzić kolorowe pisma. Słowa jednakże pozostały szare i zarażały szarością wszystko, co żyje. Zszarzały, ciągnięte za kark i brutalnie wciskane w tekst, takie słowa, jak „niepodległość", „patriotyzm", „wolność". „I była zmowa nagłych cisz".

Aż nagle pojawiło się słowo „sponsor". Rozejrzało dokoła, rozepchnęło na boki i rozjarzyło wszystkimi barwami, robiąc z miejsca furorę. Prężne i przedsiębiorcze opuściło łamy gazet i zawładnęło mową naszą powszednią. Cała Polska szuka dziś sponsora. Najlepiej zagranicznego, takiego, który przejąłby obowiązki państwa, bo ono się na nas wypięło. Rząd wspólnie z Sejmem i Senatem się wyżywi, co to zresztą za sztuka, skoro zwielokrotnił podatki i cofnął dotacje. Nie ma się co dziwić, że stać go na jesiotry i bażanty w piórach (fuj!). Można tylko zazdrościć umiejętności przepoczwarzania się z komunizmu w kapitalizm. Co prawda ten ze słownika marksisty. Nam pozostało szukanie sponsora.

Zbrojni długą tradycją podmieniania znaczeń, zrobiliśmy z tego słowa wytrych do działań gospodarczych, inicjatyw społecznych i jednostkowych. „Wojtek nie musi się przejmować, sponsoruje go ojciec, siedzący w RFN" — mówił w trolejbusie płasko ostrzyżony młodzian, a słuchający go rówieśnik popatrywał tęsknie. I to jest to. Żaden rozwijający się kapitalista nie może przecież prosić o wsparcie. Zupełnie inaczej wygląda, gdy szuka sponsora. Brzmi to ambitnie! Gołym okiem widać, jak pod tym hasłem pręży się do skoku w przedsiębiorczość, myśląca po nowemu, jednostka.

Podoba mi się to słowo. Ja też szukam sponsora, bo chciałabym sobie kupić buty. I nikt mnie o żebractwo nie posądzi.

Wiesława Kwiatkowska

PROGRAMY STAŁE

PROGRAM I

17.15 Teleexpress
19.30 Wiadomości

PROGRAM II

18.00 Programy lokalne
21.30 Panorama dnia

PROGRAM TYGODNIOWY TV

PIĄTEK — 19 LIPCA

PROGRAM I

8.00 „Dzień dobry"
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie: „Muzyczna krzyżówka" oraz serial prod. USA „Nowe przygody He—Mana"
10.00 „Szkoła dla rodziców"
10.25 „Janosik" (3) — serial TP
11.10 Aktualności Telegazety
17.00 Studio Lato
18.00 „Dziedzictwo Guldenburgów" (5) — serial niemiecki
18.25 Studio Lato
19.00 Od „Kapitału" do kapitału...
19.15 Dobranoc: „Pif i Herkules"
20.05 „Miasteczko Twin Peaks" — serial prod. USA
21.00 Zespół „Zapis" przedstawia...
21.35 XVIII Ogólnopolskie Spotkania Zamkowe — „Śpiewajmy poezję"
22.20 Wiadomości wieczorne
22.40 Dziś w Senacie
22.55 „Dziedzictwo Guldenburgów" (5) — serial niemiecki (wersja oryginalna)
23.20 BBC — World Service
23.55 „Noc z gwiazdami" — program rozrywkowy

PROGRAM II

7.55—9.00 Telewizja Śniadaniowa

7.55 Powitanie
8.00 Język angielski (10)
8.30 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
8.50 „Ameryka w moich oczach" — „New York" — reportaż

9.00 Transmisja obrad Sejmu
16.45 Powitanie
17.00 „Opowieść o mieście" — „Secesja" — reportaż
17.30 „Cudowne lata" (17) — serial prod. USA
18.00—21.30 Programy regionalne
21.45 Sport
21.55 „Nie zawsze musi być kawior" (2) — „Kuchnia francuska" — serial niemiecki
22.50 „Jazzowy Klub 2"
23.50 CNN — Headline News

SOBOTA — 20 LIPCA

PROGRAM I

7.00 „W sobotę rano"
7.45 „Tydzień na działce"
8.15 „Piłkarska kadra czeka"
8.35 „Ziarno" — program Red. Katolickiej
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie: Walt Disney przedstawia — „Kacze opowieści"; „Akcja ratunkowa" (1)
10.25 „Na zdrowie" — program rekreacyjny
10.45 „Żołnierz nieznany" — wojskowy program dok.
11.10 Wędrówki dalekie i bliskie: „Od fujarki do organów" — belgijski film dok.
11.50 „Z Polski rodem" — magazyn polonijny
12.20 Wielki sport — koszykówka zawodowa NBA
13.50 „Siódemka" w „Jedynce" — francuski program satelitarny
14.45 „Niemcy bez muru 1990" (3 ost.) — „Łaba" — serial dok.
15.45 „Telefoniada" — teleturniej z udziałem telewidzów
16.45 „Rokendroler" — magazyn muzyki rockowej
17.35 „Loża" — magazyn teatralny
18.00 Studio Sport
18.55 „Z kamerą wśród zwierząt" — „Poczta zoo"
19.15 Dobranoc: „Domel"
20.05 „Pewnego dnia zapukasz do mych drzwi" (1) — film włoski
22.05 Sportowa sobota
22.30 Wiadomości wieczorne
22.40 „Tyle nut ile trzeba" — film dok.
23.30 Frederic Forsyth przedstawia — „Posag" — film angielsko-niemiecko-włoski

PROGRAM II

7.25 „Powtórka z historii" — program dok.

7.55—11.05 Telewizja Śniadaniowa

7.55 Powitanie
8.00 CNN — Headline News
8.10 „Kapitan Planeta i Planetarianie" — serial animowany prod. USA
8.35 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
9.15 „Mądrej głowie..." — program Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny
9.45 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.00 CNN — Headline News
10.15 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.40 „Sekretny dziennik Adriana Mole'a — lat 13 i 3/4" (7) — serial angielski

11.05 „Tacy sami" — program w języku migowym
11.25 „Czapka dla skina" — reportaż
12.25 „Dookoła świata" — „Rodowód Aborygenów"
12.55 „Karnawał" Schumanna — gra Jerzy Romaniuk
13.25 Zwierzęta świata: „Mangusty, czyli w jedności siła" (2) — angielski film dok.
13.55 „Video — Junior"
14.25 „Ze wszystkich stron" — magazyn reporterów
14.55 Program dnia
15.00 „Zezem" — serial TP
15.30 „Santa Barbara" — serial prod. USA (powt.)
17.00 „Studio tajemnic" — program Wandy Konarzewskiej
17.30 „Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego"
18.30 „Doczekać końca dnia, czyli Kabaret De-Ka-De"
19.00 „Rzeczywistość Magdaleny Abakanowicz" — film dok.
19.30 „Galeria 38 milionów"
20.00 Studio Sport
21.00 „Hale i Pace" — angielski program rozrywkowy
21.45 „Bez znieczulenia" — program public.
22.00 „Akatyst ku czci Bogurodzicy"
22.05 „Człowiek bez ojczyzny" — film prod. USA, reż. Delberg Mann, wyk.: Clift Robertson, Peter Strauss i in.
23.20 CNN — Headline News

NIEDZIELA — 21 LIPCA

PROGRAM I

7.00 „Witamy o siódmej"
7.30 „Kraj za miastem"
7.55 „Po gospodarsku"
8.10 „Od niedzieli do niedzieli"
8.55 Program dnia
9.00 Teleferie: „Darby O'Gill i krasnoludki" — film prod. USA, reż. Robert Stevenson, wyk.: Sean Connery, Albert Sharpe, Janet Munro
10.30 „Przygody roślin" (6) — „Usadowić się na drzewie" — francuski serial dok.
11.00 „Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi"
11.25 „Wokół Kuklińskiego" — program dok.
11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Circom Regional prezentuje...
12.50 Magazyn „Morze"
13.10 „World Net" na antenie „Jedynki"
14.10 „Alfabet komediantów" — program public. kult.
14.50 „Tak było w Olsztynie" — reportaż z Olsztyńskich Spotkań Zamkowych
15.25 „Danuta Kwapiszewska — jej portret" — public. kulturalna
15.45 „Telewizjer"
16.05 Z archiwum Teatru TV: „Warszawa da się lubić" — widowisko muzyczne w reż. Konrada Swinarskiego, wyk.: Elżbieta Czyżewska, Barbara Rylska, Zofia Mrozowska, Józef Nowak, Mieczysław Czechowicz, Wojciech Pokora, Stanisław Grzesiuk
16.45 Film dokumentalny
17.35 „Smak życia" — program Małgorzaty Snakowskiej
18.15 „Wokół wielkiej sceny" — magazyn operowy
19.00 Wieczorynka: „Gumisie"
20.05 „Miliarderka" (3 ost.) — film francuski
21.30 „7 dni — Świat"
22.00 Sportowa niedziela
22.20 Wiadomości wieczorne
22.40 „Rewizja nadzwyczajna" — program Dariusza Baliszewskiego

PROGRAM II

7.55 „Przegląd tygodnia" (dla niesłyszących)
8.30 Film dla niesłyszących: „Miliarderka" (3 ost.)
9.50 Program dnia
10.00 CNN — Headline News
10.10 „Jutro poniedziałek"
10.30 Programy lokalne
11.00 „Wybrańcy Melpomeny" — Józef Węgrzyn
11.30 „Wspólnota w kulturze" — reportaż
12.00 „Od mikstury do pigułki" — widowisko o historii farmacji
12.30 Express Dimanche
12.45 Gość „Dwójki"
13.00 Polska Kronika Filmowa
13.10 „100 pytań do..."
13.50 „Henryk Debich proponuje" — Roma Owsińska
14.10 „Przyłbice i kaptury" (4) — serial TP
15.05 Jerzy Waldorff — „Połowy na rzece wspomnień"
16.00 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrówki ludów nad Pacyfikiem" (6) — australijski serial dok.
16.55 Program dnia
17.00 Studio Sport
17.30 „Bliżej świata" — przegląd telewizji satelitarnych
18.30 „Dwie noce z Piwnicą pod Baranami, czyli spełnione marzenia Piotra Skrzyneckiego"
19.00 „Wydarzenie tygodnia"
19.30 Galeria „Dwójki"
20.00 Koncert Gwiazd XXX Festiwalu Moniuszkowskiego w Kudowie Zdroju
21.00 „Mój Wysocki" — public. kulturalna
21.45 „Eden utracony" (1) — film angielski, reż. Neil Armhield, wyk.: Julia Blake, Artur Digman, Bruce Hughes
22.35 „Wspomnienie o Jerzym Dobrowolskim" — program Wojciecha Młynarskiego
23.45 CNN — Headline News

PONIEDZIAŁEK — 22 LIPCA

PROGRAM I

16.55 Aktualności Telegazety
17.00 Studio Lato
17.30 Studio Lato
18.00 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki
18.25 Studio Lato
19.15 Dobranoc: „Przygody Bolka i Lolka"
20.05 Teatr TV — Spektakl na bis: Marian Hemar — „Firma", reż. Edward Dziewoński, wyk.: Ewa Wiśniewska, Leonard Pietraszak, Witold Pyrkosz, Edward Dziewoński i in.
21.35 „Szopka w grajdole" — widowisko rozrywkowe
22.35 Wiadomości wieczorne
22.55 „Zawsze po 21-szej" — magazyn reporterów
23.20 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki (wersja oryginalna)
24.00 BBC — World Service

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 „Debiuty — Opole '91" — reportaż
17.30 „Cudowne lata" (18) — serial prod. USA (powt.)
18.30 Przegląd Kronik Filmowych
19.00 „Ojczyzna-polszczyzna"
19.15 Za kierownicą
19.25 Zapraszamy do „Dwójki"
19.30 Śpiewa Maciej Witkiewicz
20.00 „Pół godziny z Nowoczesnością" — przedstawia Stefan Bratkowski
20.30 „Bez emocji" — program public.
21.20 „Maraton trzeźwości"
21.45 Sport
21.55 „Jarosław Mądry" (2) — film prod. ZSRR
23.10 „Rozmowy o cierpieniu"
23.25 CNN — Headline News

WTOREK — 23 LIPCA

PROGRAM I

8.00 „Dzień dobry"
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie najmłodszych ze smokiem
9.35 Kino Teleferii: „Przygody misia Ruxpina" — angielski serial animowany
10.00 „To się może przydać"
10.25 „Matyas Sandor" (4) — serial węgiersko-francuski
11.25 Aktualności Telegazety
17.00 Studio Lato
17.30 Studio Lato
18.00 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki
18.25 Studio Lato
18.55 W Sejmie i Senacie
19.15 Dobranoc: „Ich dwóch i pies"
20.05 „Powroty" — film polski, reż. Andrzej Maj, wyk.: Iga Cembrzyńska, Jerzy Bińczycki, Ewa Ziętek i in.
21.05 Zespół publicystyki „Zapis" przedstawia program z cyklu „Petenci"
21.35 „Umieć żyć" — rozmowa z Marią Nurowską
21.50 „Telemuzak" — magazyn muzyki rozrywkowej
22.30 Wiadomości wieczorne
p22.50 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki (wersja oryginalna)
23.15 BBC — World Service

PROGRAM II

7.55—10.25 Telewizja Śniadaniowa

7.55 Powitanie
8.00 CNN — Headline News
8.10 Język angielski (11)
8.40 „Santa Barbara" — serial prod. USA
9.25 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.00 CNN — Headline News
10.15 „Ameryka w moich oczach" — reportaż

16.45 Powitanie
17.00 „Archiwum Neptuna" — „Powrót na Falklandy"
17.30 „Cudowne lata" (19) — serial prod. USA (powt.)
18.30 Modlitwa Wieczorna
18.50 „Seans filmowy" — program Ewy Banaszkiewicz
19.30 „W teatrze jednego aktora" — film dok.
20.00 „Siódemka" w „Dwójce" — francuski program satelitarny
21.00 „Wywiady Ireny Dziedzic"
21.20 „Magazyn przechodnia"
21.45 Sport
21.55 „Sherlock Holmes" — „W obliczu śmierci" — film angielski
23.05 CNN — Headline News

ŚRODA — 24 LIPCA

PROGRAM I

8.00 „Dzień dobry"
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie: „Rekordy Neptuna" — teleturniej
9.35 Kino Teleferii: „Safari" — serial czechosłowacki
10.00 „Przyjemne z pożytecznym"
10.25 „Dynastia" (93) — serial prod. USA
11.15 Aktualności Telegazety
17.00 Studio Lato
17.30 Studio Lato
18.00 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki
18.25 Studio Lato
19.15 Dobranoc: „Makowy chłopiec"
20.05 „Dynastia" (93) — serial prod. USA
20.55 Kabaret Starszych Panów: „Czternaście i trzy czwarte"
22.00 Studio Sport
22.50 Wiadomości wieczorne
23.10 „Art" — magazyn Barbary Dyksińskiej
23.30 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki (wersja oryginalna)
23.55 BBC — World Service

PROGRAM II

7.55—10.25 Telewizja Śniadaniowa

7.55 Powitanie
8.00 CNN — Headline News
8.10 Język angielski (12)
8.40 „W labiryncie" — serial TP
9.30 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.00 CNN — Headline News
10.15 „Ameryka w moich oczach" — reportaż

16.45 Powitanie
17.00 Magazyn Ekologiczny
17.30 „Cudowne lata" (20) — serial prod. USA (powt.)
18.30 „M.A.S.H." — serial prod. USA
19.00 „Kadr" — teleturniej filmowy
19.30 Koncert muzyki dawnej — London Baroque
20.00 „Cały świat gra komedię" — program public. kult.
20.40 „Moje książki" — prof. Henryk Markiewicz
21.00 Camerata 2 przedstawia: „Muzyka w Łodzi"
21.45 Przegląd sejmowy
22.00 „Dziewczyna z Mazur" (4) — serial TP
22.55 Sport
23.05 „Telewizja nocą"
23.50 CNN — Headline News

CZWARTEK — 25 LIPCA

PROGRAM I

8.00 „Dzień dobry"
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie: „Janka" — serial polsko-niemiecki
10.10 „Po sześćdziesiątce" — magazyn dla wszystkich
10.30 „Van der Valk" (3) — angielski serial kryminalny
12.10 Aktualności Telegazety
17.00 Studio Lato
18.00 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki
18.25 Studio Lato
18.50 Magazyn Katolicki
19.15 Dobranoc: „Nasi wierni przyjaciele"
20.05 „Van der Valk" (3) — angielski serial kryminalny
21.50 Goście Andrzeja Zarębskiego
22.10 „Pegaz"
22.40 Wiadomości wieczorne
23.00 „Forum '91" — program public.
23.25 „Dziedzictwo Guldenburgów" — serial niemiecki (wersja oryginalna)
23.55 BBC — World Service

PROGRAM II

7.55—10.15 Telewizja Śniadaniowa

7.55 Powitanie
8.00 CNN — Headline News
8.10 Język angielski (13)
8.40 „Santa Barbara" — serial prod. USA
9.25 Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.00 CNN — Headline News

16.45 Powitanie
17.00 Teleklinika dr Anatolija Kaszpirowskiego
17.30 „Cudowne lata" (21) — serial prod. USA (powt.)
18.30 „Pod wspólnym dachem" (4) — serial francuski
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Znaki czasu" — film dok.
20.00 Studio Sport
21.00 „Ekspres reporterów"
21.45 Sport
21.55 100-lecie Carnegie Hall (cz. 1)
23.35 CNN — Headline News

Szanowni Dyrektorzy i Menedżerowie!

Uprzejmie informujemy, że istnieje stała możliwość zamieszczania reklam w naszym tygodniku.

Niskie ceny, krótkie terminy, bonifikaty dla stałych klientów.

Zlecenia prosimy kierować:

„Tygodnik Gdański" Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 tel. 31-80-62, fax 31-71-21.

R-9-RTG/16

Redaguje zespół: Aleksandra Ciechanowicz-Sarata, Adam Derewicz, Piotr Dominiak (kier. działu ekonomicznego), Maria Giedz, Andrzej Gołębiowski (sekr. redakcji), Izabella Greczanik-Filipp, Ewa Gronkiewicz, Tadeusz Jabłoński, Maria Jarząbska (red. techniczny), Maciej Kostun, Stanisław M. Królak, Grzegorz Kurkiewicz, Jarosław Kurski, Wiesława Kwiatkowska, Andrzej Liberadzki (red. naczelny), Maciej Łopiński, Wiesław Matuszek (red. graficzny), Aleksandra Paprocka (kier. działu społecznego), Jarosław Rybicki (kier. działu ilustracji), Tadeusz Skutnik (z-ca red. naczelnego), Mieczysław Sokołowski (kier. działu zagranicznego), Barbara Szczepuła, Włodzimierz Szymański, Henryk Tronowicz, Dariusz Wasielewski, Janusz Wikowski, Jarosław Zalesiński (z-ca sekr. redakcji), Maciej Żakiewicz.
Stali współpracownicy: Tadeusz Aziewicz, Wojciech Charkin, Adam Pawłowicz, Jacek Piotrowski, Wawrzyniec Rozenberg, Aleksander Rozenfeld, Henryk Sawka, Piotr Semka, Aleksandra Skibińska (Hamburg), Barbara Sułek-Kowalska, Wojciech Turek.

Korekta: Małgorzata Danielewicz, Ludwika Listewnik, Wiesława Krause.
Zespół techniczny: Elżbieta Dębska, Anna Pellowska, Agnieszka Pniewska, Barbara Szymańska, Maria Skrzypek, Rafał Wianecki, Urszula Wolak.
Wydawca: „Przekaz" Spółka z o.o., 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 tel.: 31-80-62, 31-39-23.
Informacje o prenumeracie: tel.: 38-44-00.
Indeks 379549 PL ISSN 0866-9198.
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowywania materiałów nie zamówionych. Za treść reklam i ogłoszeń nie odpowiadamy.
Skład i druk: Prasowe Zakłady Graficzne, 75-012 Koszalin, ul. A.Lampego 18/20.
Numer zamknięto 16 lipca 1991
Zam. D-476
Cena 2500 zł

TYGODNIK GDAŃSKI

Adres redakcji: 80-855 Gdańsk
ul. Wały Piastowskie 24, pok. 105-107
Tel. 31-76-12, 38-44-08, 38-43-20, 38-43-65, 38-43-46
fax 31-71-21 telex 0513266 tygda

Coś z bycia

Z tulipanem po suwerenność

Analizując przekształcanie się wrogości Francuzów do Niemców i odwrotnie w przyjaźń — red. Kurkiewicz w tym numerze sugeruje jakoby pełna suwerenność Polski po 1989 roku tworzyła przesłankę podobnego wygładzenia stosunków Warszawy i Bonn. W meritum nie wchodzę, bo nie mnie wypowiadać się w kwestii polityki zagranicznej, lecz podważę tezę Szanownego Autora co do naszej niezawisłości. Z tym trochę tak, jak z częściowo nieświeżym jajeczkiem w znanej anegdocie.

Ostatnio miesięcznik „Rodina" w Moskwie, podobno niezależny, zamówił u mnie relację o prawdziwym przebiegu operacji wyzwolenia Polski przez Armię Czerwoną. Przeniosłem się więc myślą w tamtem odległy czas i ukazała mi się złożona prawda. Autentyczna była wtedy ulga uratowania od okupacyjnej śmierci w niemieckim hełmie SS, grożącej na każdym kroku i często przypadkowej. Równie prawdziwe było wzruszenie, utrwalone w kronikach PKF, wywołane widokiem — po tylu przecież latach — polskich mundurów. Budziły się nadzieje powrotu tamtej Polski, Drugiej Rzeczypospolitej. Miała ona słabości, fakt, była dla narodowych mniejszości raczej macochą, ale zarazem stanowiła państwo prawa, wewnętrznie dość stabilne i niewątpliwie całkiem suwerenne. A to znaczyło, iż państwowe decyzje zapadały wyłącznie w obrębie polskich granic, w Warszawie a nie gdzie indziej, zaś miejscem stanowienia praw i tym samym władzą najwyższą był polski Sejm i polski Senat.

Gdy przywiędła euforia powitań — wyjrzało drugie oblicze wyzwolenia. Wyzwalani odkryli, że nasi polscy oficerowie z taką zawadiacką fantazją noszący rogatywki polowe — zwykle nazywają się Iwanow albo Aleksandrow, a ojczyznę-polszczyznę kaleczą bez litości. Wypożyczyła ich nam Armia Czerwona; być może na wieczne nieoddanie... Gdzie zatem — rodziła się nieufna myśl — podziali się polscy dowódcy, zagarnięci w 1939 roku? Pożałował niejeden, kto o to pytał. Inną zastanawiającą kwestią były spec-uprawnienia NKWD na wyzwalanych obszarach wobec obywateli polskich. Większość wyzwolicieli, zwłaszcza słabszych w geografii Europy, przybyłych zza Uralu, sądziła iż już się znalazła w „prokliatoj Giermanii" gdzie można postępować jak radził sam Suworow, dający sołdatom po sukcesie militarnym kilka dni na gwałt i branie łupów. Sęk w tym, że za czasów feldmarszałka armie brały miasta w marszu, paliły je i grabiły, a potem opuszczały idąc dalej — podczas gdy w 1945 roku jednych łupiących luzowali inni i nie było końca popytu na darmowe polskie czasomierze i rowery. Problemem Polek, nawet leciwych, było zapotrzebowanie na sołdacki seks bez wstępnej gry miłosnej i nie dobrowolny, z czego wzięły się rzeżączka, syberyjski syf i czasotka czyli świerzb.

Tak przyzwyczajono nas do niepodległości flagowej. W Kenii czy w Tanzanii, byłych brytyjskich koloniach, termin oznacza zgodę imperium na własny sztandar, herb i hymn, nawet małą armię bez zapasów amunicji — lecz powiązania z imperium sprawiają, że nic ważnego się nie dzieje bez jego zgody. Usłużni politolodzy nauczali, że we współczesnym świecie nie ma faktycznie państw niezależnych i nawet USA zależą w jakimś stsopniu od Mauritiusa czy też Seszeli. „Słuszaj, Bierut, ty łuczsze atjebiś!" — wściekał się Beria, szarpiąc Prezydenta RP za klapy w przerwie moskiewskiej narady, gdy ten poruszył sprawę rozstrzelania członków KPP; wiem to od leciwego kapepowca z najwyższych ogniś kręgów, obecnie w kościelnej służbie porządkowej, nazwisko i adres zastrzeżone. Sam w listopadzie 1971 w Moskwie w trolejbusie przeżyłem przygodę z kołchoźnikami. Jeden na Święto Rewolucji przybył z Ukrainy, drugi z Białorusi, lecz nie wpuszczono ich na Plac Czerwony. — A ja tam był! — nie omieszkałem się pochwalić. — Ja inostraniec! — A ty ot kuda? — Iz Polszy! — Kakoj ty inostraniec — zarechotali zgodnie, wyjaśniając że Polska to taka sama republika jak USRR czy BSRR, też należące do ONZ. Wiedzieli lepiej.

To dawne, przebrzmiałe czasy? Jeśli tak — to na jakiej podstawie prawnej po uchyleniu Układu Warszawskiego stacjonują nadal w suwerennej Rzeczypospolitej obce garnizony, a potężny sąsiad wzbrania się chociaż o miesiąc przyspieszyć termin ich ostatecznego wycofania, zresztą termin jednostronnie podyktowany? A dlaczego ten sąsiad nie zawarł i o ile wiem nie zamierza zawrzeć z Polską układu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, w rodzaju zawartego z nie graniczącą bezpośrednio Republiką Federalną Niemiec? Czy dlatego że chce na Polsce wymusić traktat zabraniający wchodzenia w sojusze z państwami trzecimi, jaki już wymusił na Rumunii?

Hindusi odrzucając wszelką myśl o stosowaniu przemocy, w 1962 roku, po obaleniu panowania brytyjskiego w Indiach, postanowili pozbyć się Portugalczyków w enklawie Goa. Kilkanaście milionów synów Indii w białych szatach, z kwiatami i pieśnią pomaszerowało koncentrycznie na ten ostatni obcy bastion w wyzwolonym kraju, czego kolonialiści nie wytrzymali nerwowo i zrejterowali. To może być pomysł na przyspieszenie prawdziwej suwerenności — pomysł do kupienia w przyszłym roku najdalej, powiedzmy w maju, gdy kwitną tulipany.

Jan Chrzan

Z półdystansu

Naga prawda

Ciężkie jest życie obywatela w warunkach demokracji, pluralizmu politycznego, a przede wszystkim wolności prasy. Co rusz musi dokonywać jakichś wyborów w sprawach, o których nie ma zielonego pojęcia. Jak by nie wybrał, zawsze znajdzie się ktoś i wytknie błąd. Jeśli zaś odmówi i nie wybierze w ogóle, zarzucą mu ani chybi emigrację wewnętrzną, słowem: i tak źle i tak niedobrze.

Czytanie gazet, oglądanie telewizji, czy słuchanie radia nie ułatwia wcale wyboru, tylko wręcz przeciwnie. Albowiem media pełne są zgoła sprzecznych informacji. Podobno dżentelmeni nie dyskutują o faktach. Jeśli to prawda, to dżentelmenów nie ma, w każdym razie w środkach masowego przekazu, choć jak mówił pewien pan w tramwaju indagowany na okoliczność ustąpienia miejsca kobiecie pracującej: „dżentelmenów jest od cholery, tylko miejsc brakuje!"

Rozdyskutowana i nie mogąca uzgodnić faktów prasa pogłębia mętlik w głowach obywateli, którzy zastanawiają się, kto właściwie pisze prawdę. A co to jest prawda, zapytywał Prokurator Piłat dla jednych oportunista i tchórz, dla innych rozważny polityk, dla jeszcze innych subtelny intelektualista z wieczną migreną dochował się legionu potomków. Część z nich po dziś dzień pyta nad zlewem: co to jest prawda? I robi wszystko, by nie znaleźć odpowiedzi. Tu jednak trzeba wspomnieć o historycznym rozróżnieniu. A mianowicie słowo prokurator przed dwoma tysiącami lat znaczyło co innego (a właściwie kogo innego) zgoła niż obecnie.

Kiedyś życie było dużo łatwiejsze. W gazetach królowała jedna prawda, podawana za Polską Agencją Prasową w wersjach dla prasy partyjnej, innej porannej (d. czytelnikowskiej) i popołudniowej. W dodatku niekiedy „pod embargo". Dziś nie tylko każda z gazet pisze co innego, ale nawet przedrukowywanej przez nie (w dużo mniejszym stopniu) wyroczni coraz trudniej wierzyć. Że wspomnę tylko o niedawnym „zdjęciu" przez PAP prezesa Terleckiego w oparciu o murowany przeciek. Choć złośliwi twierdzą, że nie była to wcale informacja, tylko kreacja, próba rewanżu za wcześniejsze upokorzenie, jakiego Agencja doznała za sprawą telewizji, gdy ówczesny szef DPI — Lech Dymarski zarzucił PAP niewiarygodność i nakazał pracownikom dzienników TV weryfikowanie PAP-owskich informacji. Owe embargo na agencyjne serwisy zostało przez TVP nałożone po podaniu przez PAP smacznej, ale nieprawdziwej informacji na temat sporów między rządem a Belwederem.

Ale zostawmy już tę prehistorię, kiedy dzień dzisiejszy niesie tyle atrakcji. Gdzie leży prawda, pyta czytelnik, gdy w jednej gazecie czyta, iż obowiązkowe preferencje personalne na listach partyjnych będą przekleństwem kampanii nowego parlamentu, gdyż doprowadzą do wewnętrznej konkurencji w ugrupowaniach politycznych, osłabią i tak słabe partie, uniemożliwią wspólne listy i przedwyborcze sojusze i w efekcie spowodują wybór zupełnie nieprzewidywalnego w reakcjach Sejmu; a w drugiej, że przeciwnie — preferencje to błogosławieństwo, element prawdziwej demokracji, tama dla koteryjności partyjnej, stawka na dojrzałość społeczną.

Jak odpowiedzieć na pytanie, kto pisze prawdę, skoro nie sposób ułożyć anagramu. Kiedy prokurator Judei spytał stojącego przed nim Jezusa: Quid est veritas? — czyli co to jest prawda, usłyszał w odpowiedzi: Vir est qui adest — człowiek który jest przed tobą.

Ale współcześni Polacy nie rozmawiają przy lekturze prasy po łacinie, która jest językiem martwym. Podobnie jak martwa jest dziś sztuka układania anagramów.

Czy to prawda, że komuna szykuje się do skoku na kasę? Że spółkom nomenklaturowym powodzi się jak nigdy przedtem? Czy też prawdą jest tworzenie się zupełnie nowej nomenklatury i arogancja zupełnie nowej władzy.

Czy Unia Demokratyczna faktycznie współpracuje z bolszewikami, by w imię swych partykularnych interesów pognębić demokratycznie wybranego prezydenta i ocalić kontraktowy parlament? Czy to Porozumienie Centrum wpadło w pułapkę bolszewickiego myślenia w kategoriach wszechobecnego wroga i zamierza pognębić „młodą polską demokrację"?

Czy prezydent Lech Wałęsa wyczuwa nastroje społeczne i jak piorunochron stara się je rozładować? Czy przeciwnie — podgrzewa je ponad wszelką miarę i sam ciska piorunami mogącymi spalić „nasz własny dom"?

Czy minister Skubiszewski nie wywożąc generała Dubynina na taczkach działa zgodnie z polską racją stanu, czy wyprzedaje nasze podstawowe interesy?

I czy plan Balcerowicza został wykoncypowany w zaciszach gabinetów zachodniej finansjery, by pognębić Polskę, czy jest on dla tej Polski jedyną szansą?

Narzędzia wzięte z Ewangelii nie bardzo przystają do analizy rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej.

Szkoda, że w czasach ofensywy golizny w filmach, czasopismach, książkach, najtrudniej o nagą prawdę.

Maciej Łopiński

Lech Wałęsa, ur. 29 IX

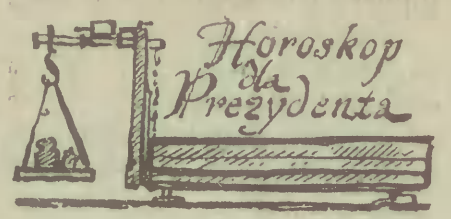

Na okres od 19 do 25 lipca

Dobre układy gwiezdne, które przeważają w tym tygodniu, dają szansę na złapanie oddechu i zastanowienie się nad tym, co należałoby zrobić w najbliższej przyszłości.

Słońce wchodzi właśnie w 12 dom Twojego horoskopu. Mimo że tempo życia będzie bardzo ożywione, trzeba znaleźć czas na podsumowanie minionych dwunastu miesięcy. Spójrz wstecz, zastanów się nad tym, jakie Twoje słabe i mocne strony ujawniły się w tym czasie, jakie odniosłeś sukcesy a czego nie udało się dokonać. Ważne jest, byś obiektywnie ocenił wydarzenia i swoją w nich rolę. Jeśli nie potrafisz wyciągnąć wniosków z tego, co się wydarzyło lub będziesz próbował oszukiwać samego siebie, może to działać na Twoją niekorzyść przez cały następny rok. Samokrytyczne spojrzenie znacznie ułatwi Ci działalność i odbierze broń przeciwnikom.

W tym tygodniu tranzytujący Jowisz znajdzie się w koniunkcji z Twoim Jowiszem urodzeniowym. To ważny moment, sygnalizujący początek nowego cyklu, który potrwa około dwunastu lat. Oznacza korzystne zmiany w psychice, szersze rozumienie świata, nowe osoby i nowe okoliczności, które pojawią się w Twoim życiu. Możesz wiele zyskać pod warunkiem, że osobista korzyść nie będzie Twoim jedynym celem. Im więcej dasz z siebie innym, tym więcej otrzymasz — takie są prawa tego tranzytu. Jest to dobra pora na dokonanie korekty postępowania i zastanowienie się nad obraniem nowej taktyki. Aby osiąnąć sukces, musisz być aktywny.

Dobry okres w życiu osobistym i emocjonalnym, korzystny czas do kontaktów z dziećmi. Poziom energii fizycznej może jednak być dość niski, raczej więc nie należy rozpoczynać nowych, ważnych przedsięwzięć. Natomiast wszystkie krzyżówki — nawet te najtrudniejsze — rozwiążesz w tym tygodniu w imponującym tempie.

Capella

Dział prewencji

Trzymaj ręce przy Irence

Lech Wałęsa zaapelował, aby brać sprawy we własne ręce. Pomijając liczne grono onanistów, które od pokoleń trzymało ręce tam gdzie trzeba, cała reszta, czyli zdrowa część społeczeństwa, w temacie własnych rąk, miała i ma niejakie kłopoty. Są tacy, co trzymają ręce w kieszeniach, nie przejmując się zbytnio dynamiczną prywatyzacją, czy rozkwitem rolnictwa. Wielu trzyma się pod boki ze śmiechu, nieliczni trzymają rękę na pulsie, większość przyjmuje tradycyjną w tych rejonach pozycję „Ręce do góry!" (zwaną też po kaszubsku: „Ruki wwierch").

Prezydencki apel, aby brać sprawy w swoje ręce nie pozostał jednak bez echa. Lud zamieszkały nad Wisłą orzekł, iż minister Chrzanowski jest zbyt powolny. Sprawiedliwość zaczęto wymierzać w rytm ludowych tam-tamów. Życie nabrało rumieńców.

W Sądzie Rejonowym w Gdyni, w trakcie rozprawy o alimenty, pozwany Józef K. rzucił w kierunku powódki i składu sędziowskiego granatem odłamkowym typu RG-42.

W Łodzi mieszkańcy osiedla Chojny, zdesperowani rekreacyjno- wypoczynkowym charakterem policji państwowej, sami zaczęli łapać złodziei. W centrum osiedla zbudowano imponujący pręgierz, do którego jak głosi oświadczenie chwackich organizatorów, przywiązywać się będzie ku pośmiewisku „osiedlowe męty społeczne, dziwki i złodzieje". Jest nadzieja, że pomysł ten przyjmie się także na innych osiedlach w kraju, nie mniej niż prekursorskie Chojny zagrożonych.

Ostatni przykład niezwykle cennej inicjatywy brania sprawiedliwości we własne ręce, to zmasowana (i dodajmy: udana) próba przemeblowania wielu cygańskich mieszkań w Mławie, zgodnie z obowiązującymi tendencjami w modzie światowej.

Samosąd podobnie jak picie herbaty i Centrum Badania Opinii Społecznej ma długą i piękną tradycję, która opiewana i pielęgnowana jest przez wieszczy (że przypomnę tu malowniczą scenę wywiezienia ze wsi Jagny na kupie gnoju w „Rolnikach" Reymonta).

Łamanie kołem wymyślili jezuici z Hiszpanii, lynch jest wynalazkiem kowbojów amerykańskich, a gilotynę skonstruował poczciwy francuski lekarz monsieur Guillotin. Nie ma co, powiało światem.

Krzysztof Skiba

PS. Tytuł felietonu jest oczywiście bez sensu. „Tygodnik" płaci premie za chwytliwe początki. Cóż, kapitalizm!

KS

Rys. Henryk Wierzba